Nr. 28. Warszawa, dnia 27 Czerwca (9 Lipca) 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BRISSONIADA.

Po czterech próbach oportunistycznych i koncentracyjnych, z Ribotem, Dupuy, Sarrien'em i Peytralem, zrobił p. Faure próbę radykalistyczną z Brissonem: ta nareszcie się udała. D. 27 z. m. pierwszego ministra otaczało już grono kolegów wydziałowych, gabinet stał, ale jeszcze bez władzy, bo bez urzędowej nominacyi. Nazajutrz ułożono wspólny programat dla siebie i dla Izby; tego samego dnia prezydent nominacye podpisał, d. 29 z. m. ogłosił je *Jour. officiel*, a w ostatnim dniu czerwca nowy gabinet odbył swój debiut w Izbie.

Brisson był już wiele razy prezesem Izby deputowanych; nikt we Francyi tyle się nie nadzwonił w hałasie, tylekroć nie sięgnął po słynny kapelusz prezydenta Izby, gdy już nic innego uratować nie mogło spokoju i godności prawodawców. Był też Brisson i raz już prezesem gabinetu, po Ferrym, gdy go zwaliła Izba z powodu 200 milionów, zażądanych na Tonkin; rządził wtedy od początku kwietnia prawie do końca grudnia 1885 r. Był nareszcie dwoma nawrotami kandydatem na prezydenta rzeczypospolitej: w r. 1894 po Carnocie i w r. 1895 po Casimir-Perrierze; w drugim na 430 głosów, danych Faure'owi, miał swoich 361: był więc współzawodnikiem poważnym.

Wydziałowi p. Brissona nie mają przeszłości tak świetnej. Najznakomitszy z nich, Leon Bourgeois, był raz tylko w r. 1895 i 6, przez kilkanaście miesięcy, przewodnikiem rządu radykalnego: rozbił się o podatek dochodowy i o politykę zagraniczną, którą chemik Bertholot tak przyrządził, że sam prezes gabinetu, obejmując ją po nim, nie zdołał znaleźć i dobrać potrzebnych na nieład odczynników. Przedtem Bourgeois w latach 1893 i 4 ministrował w oświacie i w sprawiedliwości. Obecnie wrócił do oświaty. Bogaty kupiec marsylski, Peytral, był także dwukrotnie ministrem wydziałowym, w latach 1888 i 1895; wierny zawsze skarbowi, teraz po raz trzeci staje u jego steru. Ministra wojny ma p. Brisson cywilnego, Cavaignac'a. W r. 1892 zarządzał on wojskowością na morzu, w latach 1895—6 w gabinecie Bourgeois uprawiał wojskowość lądową. Morze dostało się teraz p. Lockroy, sprawozdawcy ze spraw floty w Izbie. Obaj ci cywilni nie są ani nieukami, ani niezdarami; powołanie ich jednak wskazuje, jak trudno jest znaleźć we Francyi generała lub admirała przystającego do tak nawet skromnie radykalnego gabinetu, a jeszcze skromniejszego programu rządowego, jak obecny. Minister sprawiedliwości, Sarrien, nie jest już ani w tym, ani w innych wydziałach nowicyuszem: sprawy wewnętrzne, poczty i telegrafy nie są mu obce; ministeryalną godność otrzymywał zawsze od Brissona lub Bourgeois.

Ministrem spraw zagranicznych jest Delcassé, znawca kolonij, w r. 1894 na krótko minister wytworzonego wówczas odrębnego wydziału. Ministeryum spraw wewnętrznych p. Brisson zatrzymał sam dla siebie. Z pozostających jeszcze dwóch ministeryów rolnictwo dostał, już po raz trzeci, p. Viger, doktór medycyny, a roboty publiczne parę dni temu jeszcze czekały na nominata.

W całości swojej, gdy się weźmie kwalifikacye służbowe i osobiste, roboczo — gabinet wygląda niezgorzej. Gdyby rządzenie narodem było tylko wykonywaniem pewnych robót, jak np. zrobienie danej szafy przez danego stolarza, możnaby w nowym gabinecie przewidywać porządne prowadzenie spraw i długotrwałość władzy. Ale rząd każdy, to życie, nie papier, to funkcya, nie robota — a co więcej, to funkcya, nietylko państwowa, ale i społeczna. Do rządu potrzeba nietylko znajomości rzeczy, przymiotów umysłu i charakteru, nietylko rozumu stanu, ale i rozumu, a raczej talentu politycznego, o który trudniej, niż o tamten, rysujący się zawsze na tle spokojnem, powoływany jedynie do rozwiązywania zadań, kiedy polityka ma do czynienia z ruchem, z życiem, z człowiekiem zbiorowym, z jego namiętnościami, kłębiącymi się nieraz piekielnie, z interesami będącymi w ustawicznej walce — z naturą ludzką, i nietylko tą, która pełza, ale i tą, która nad poziomy wzlatuje. Tu zagadnienia nietylko rozwiązywać, ale i stwarzać potrzeba, nietylko być urzędnikiem, majstrem od roboty na dziś, ale duchem odczuwającym tętna społeczne i prądy ogólno-ludzkie — na jutro.

Debiut nowego gabinetu w Izbie d. 30 z. m. ze stanowiska tych pojęć przedstawia się nad wyraz mizernie. Ministrów p. Faure'a, prowadzonych przez p. Brissona, ze stanowiska tego wcale nawet nie widać: tak są mali. O zły program oskarżyć ich nie można; dobrego przyznać im niepodobna: oni ani złego, ani dobrego zgoła nie mają, a to, co się w ich logicznym żargonie programem nazywa, jest tylko oświadczeniem bezwyznaniowości politycznej. Po oportunizmie umiarkowanym, uśmiechającym się na prawo do klerykalizmu, na lewo do monarchizmu, oportunizm radykalny, odwracający się od demokracyi, od jej wymagań, potrzeb i pożądań. Hasło zjednoczenia republikanów, które p. Brisson wydał był już w r. 1885 po Ferrym, powtarza się i teraz: Leon Bourgeois — wraz z Cavaignaciem i Peytralem najwybitniejsza siła gabinetu — tak dobrze krzyczy „zjednoczenie, koncentracya," jakby krzyknął Dupuy, Ribot lub, przykładający sobie plastry po świe-

żym upadku, p. Méline. Podatek dochodowy nie będzie progressywnym, ale degressywnym, tj. malejącym, nie rosnącym, aby wprawdzie biedny nie czuł brzemienia, ale i bogaty mógł ujść bezpiecznie ze swym workiem; podatki osobiste, okienne, meblowe—wszystkie te nękające pobory ustaną. Budowa mieszkań tanich dla robotników, zabezpieczenie ich starości—dokonają reszty reform zamierzonych; przytem zrobi jeszcze swoje reforma podatku od alkoholu i od spadków. Wybujałe spekulacye giełdowe i kupieckie dostaną tamę w swojem pleniemiu się dalszem. Dbałość o wojsko i flotę będzie nieodstępną; armię kolonialną koniecznie wytworzyć potrzeba.

Taki jest program. Jemu tylko zawdzięcza gabinet swe istnienie. Za taki program dostał d. 30 z. m. votum zaufania od Izby 316 głosami przeciw 230, przy normalnej liczbie 584 ogółu posłów.

Tydzień polityczny. Niema już i eskadry Cervery, której tak szczęśliwie udało się wpłynąć do Santjago z niebezpiecznej podróży przez Atlantyk i wody zatoki meksykańskiej. Dnia 4 b. m. cztery okręty większe od pocisków amerykańskich, od prądu fal pędzących na skały, od żagwi wreszcie przez samych Hiszpanów przytkniętej — zniszczały; pozostałe, o ile nie wpadły w moc Amerykanów, są bez znaczenia. Stało się to już po za obrębem zatoki, może nawet już na morzu, przy brzegach. Cervera, widząc zagładę, wypłynął — doścignęli go Amerykanie i zgladzili. On sam wraz z 1,300 walczącymi i uciekającymi dostać się miał do niewoli. Skutek klęski piorunujący: Camara wrócił się z drogi przez Suez do Filipin. Potrzebują go w samej Hiszpanii do obrony portów. Filipiny już nie hiszpańskie, choć może i nie amerykańskie, jeśli Europa zawoła *veto*; Hiszpania odzyskać je może tylko dzięki niezgodzie europejskiej lub trwodze amerykańskiej.

Zagładę Cervery poprzedził dwudniowy szturm do Santjago, do jego fortów zewnętrznych w d. 1 i 2 b. m. Bój był bardzo zacięty i jeżeli potrzeba chwalić Hiszpanów za męstwo, można też i Amerykanom przyznać dzielność niespodziewaną, zwłaszcza ich kawaleryi. Ci ochotnicy dowiedli przymiotów żołnierza z rzemiosła: stali pod kartaczami, dali się dziesiątkować, a w szturmach okazali zapał i odwagę. Od północno-wschodu i południa Santjago jest zupełnie osaczone po zdobyciu portów i bateryj. Shafter czeka tylko na działa oblężnicze. Wezwany do poddania się następca Linaresa odmówił. Rząd w Madrycie czyni to samo: broni honoru; papież namawia go do pokoju daremnie. St. Zjednoczone odrzacają pośrednictwo; chce Hiszpania, to niech prosi sama: jest w tem styl — jakby militarnego mocarstwa. Hiszpania poprosi na początek o zawieszenie broni.



FILANTROPIA I ŻYCIE.

Utalentowany nowelista rosyjski, Czechow, w jednym ze swoich obrazków uwiecznił postać malca-żebraka, zgłodniałego, nie umiejącego żebrać ani za ojca, ani za siebie. Stojąc na ulicy i wpatrując się w napisy na restauracyi, wyraził on głośno marzenie o ostrygach, o których nie miał pojęcia. Usłyszeli to dwaj przechodnie ze świata sytych i puściwszy wodze swojej fantazyi, nakarmili malca ostrygami, który jednak i nadal pozostał nędzarzem wiecznie głodnym. Ten obrazek głęboki przychodzi nam na myśl zawsze, ile razy nasi zamożni filantropi, puściwszy wodze swojej fantazyi i szczodrości miłosiernej, karmią zgłodniałe rzesze nędzarzy ostrygami, pozostawiając ich w nurtach wiecznej niedoli, troski i znoju.

W kronice filantropii naszej zapisać możemy obecnie nowy fakt tego rodzaju: Baron Lenval postanowił stworzyć „Instytut hygieny dla dzieci," którego celem ma być praktyczne zaszczepianie w dziatwie zasadniczych podstaw hygieny i krzewienie jej tą drogą śród ludności. W zakładzie tym dzieci rodziców ubogich do lat 14 wieku będą mogły korzystać z kąpieli i natrysków, „jako najskuteczniejszych środków do utrzymania czystości ciała;" z porady lekarskiej, gimnastyki ortopedycznej itd. Pielęgnowanie zębów, szczepienie ospy, opatrunki w razie ran lub wrzodów — wchodzi także w zakres działalności instytutu. Bar. Lenval, pragnąc urzeczywistnić swą myśl, zwrócił się do Towarzystwa hygienicznego o współdziałanie w tej mierze. Ze swej strony przeznaczył on 60,000 rs. na budowę gmachu, w którym mogłaby zarazem znaleźć pomieszczenie kancelarya Towarzystwa. Nadto ofiarował 30,000 jako fundusz wieczysty, od którego odsetki będą używane na utrzymanie instytutu.

Fundacya istotnie wspaniała i efektowna, warta tego, ażeby zwolennicy miłosierdzia otoczyli hojnego ofiarodawcę obłokiem kadzideł. Nam jednak, po za uznaniem dla tej szczodrości i chęci służenia społeczeństwu, ofiara ta nasuwa inne myśli. Stwierdza ona już nie poraz pierwszy, że nasi bogaci obywatele kraju, pływając po powierzchni fali społecznej, korzystając z jej przestworów szerokich, nie patrzą w głąb życia, lecz poczuwszy popęd ku uczynkom dobrym, nadają im taką postać, jaka choroby nie leczy, niedomagań rdzennych nie usuwa, lecz tylko znieczula je na chwilę. Jeżdżąc wygodnym powozem lub wyglądając z okien przestronych gabinetów i salonów, widzą oni czasem dziatwę brudną, odartą nad rynsztokiem, lub na rękach matek wynędzniałych. Robi to przykre wrażenie, gwałci poczucie estetyczne, no, i zarazem zasiewa w duszy ziarno litości, z którego wyrasta ładny krzew miłosierdzia. Warto tę brudną dziatwę obmyć, aby oczu nie raziła, dać jej kąpiele, natryski nauczyć metodą poglądową, że dobre odżywienie wzmacnia organizm, przestronne, suche mieszkanie, gimnastyka itd. podnosi sprawność duchową i fizyczną—słowem—zaszczepić w dziatwie ubogiej zasady hygieny, dać zupełną świadomość tej potrzeby i pozwolić głęboko wzdychać do niej.

Tworząc instytuty hygieny dla dzieci, przytułki, „nazarety," nasi filatropi czer-

---

STRACH.*)

W sierpniu roku... nie pamiętam już dobrze którego, zajechałem, jak zwykle, do Czerkas, obydnej naszej powiatówki. Żniwa dopiero co ukończyłem, *groszy* krzynę do kalety wpłynęło, więc też, pokrzepiony na duchu, spieszyłem co żywo zaspakajać podatki, kontrybucyę, zaległości i inne opłaty, nie mniej Damoklesowe. Od chwili przyjazdu byłem w ciągłym ruchu. Obszedłem wszystkie właściwe urzędy, miło się przy załatwianiu spraw uśmiechając; ale gdy to nie zawsze pomagało, zmuszony byłem zjeść jeszcze w restauracyi parę dobrych obiadków, naturalnie w towarzystwie, zachowując się przytem w miarę dowcipnie. Nadeszła wreszcie ta pożądana chwila, żem z lekkością w sercu mógł sobie powiedzieć: *finita la... tragicomedia!*

Natychmiast wpadłem do zajazdu, gdzie huknąłem na Maksyma, aby zaprzęgał konie, a sam pobiegłem jeszcze na miasto, aby pożegnać się ze znajomymi. Ten i ów, z wylaniem ściskając podaną sobie prawicę, kiwał jednocześnie głową poważnym ruchem i pilnie wpatrywał się w moje oblicze z pewnym rodzajem podziwu. Ktoś nawet posunął się do wypowiedzenia paru tajemniczych słów, popartych niemniej tajemniczemi minami:

— Radzę pozostać. .

Oh! tchórze piramidalni! Przypomniałem sobie obecnie najświeższą nowinkę, którą wszyscy od samego rana powtarzali tu aż do znudzenia. Przed paru dniami zamordowano trzech Żydów na drodze, którą miałem teraz wracać do domu. Nikt z poszkodowanych nie pozostał przy życiu, więc opinia publiczna i urzędowa, gubiły się teraz w lesie najrozmaitszych przypuszczeń. Gubiły się, aż się zgubiły. Dnia tego nikt z przedstawicieli sławetnej mieściny nie poważyłby się z pewnością wysunąć nosa po za rogatki ojczystego grodu. Na mnie patrzano z niewysłowionym podziwom. Bodaj że wreszcie zaczęto posądzać mnie o zmowę lub nawet o udział w morderstwie.

Na wszystkie te insynuacye pozostałem najzupełniej obojętny. Właśnie Maksym podjechał spasioną czwórką, zaprzężoną w poręcz do wysokiej bryczki, trochę ciężkiej, ale za to wygodnej — więc rozsiadłem się w niej natychmiast z wyniosłą miną Hannibala, przeprawiającego się przez Alpy i zawołałem:

— Jazda!

Bryczka zaczęła z łoskotem toczyć się po bruku, a ja doznałem jeszcze raz przyjemności oglądania twarzy, zdumionych moją odwagą. Wkrótce jednak i domy i ludzie pozostali w tyle a natomiast widniały tylko pojedyńcze dworki i płoty najrozmaitszych kształtów — płotów co niemiara. Wreszcie i to poznikało, przed memi oczyma roztoczył się rozległy, równy, bezgraniczny step.

Nie było to jednak pole dzikie, nieuprawne, porosłe trawą bujną i soczystą, tradycyjny step ukraiński ze skośnookim tatarzynem, czającym się w burzanach, lub chociaż z kozakiem, puszczającym się w zawody z wichrami. Takich stepów nie dojrzysz już na Ukrainie, jak długa i szeroka. Na ich miejscu ciągną się teraz niezmierzone łany pszenicy i buraków, lub, jak na gorszych gruntach, poletka hreczki i kartofli. Miedze i małe kopce graniczne, oraz rozsiane gdzieniegdzie półkoliste kurhany, zdawna już wyglądzane lemieszem, to całe ich urozmaicenie.

Taki właśnie step miałem przed sobą. Z obu stron drogi żółte ścierniska, poprzedzielane miejscami spaloną, jakby przygasłą zielonością okopowizn, ciągnęły się długiemi, jednostajnemi pasmami

*) Według zapewnienia autora, jest to opowieść o zdarzeniu prawdziwem *Red.*

pią ze swych czynów całą pełnię zadowolenia moralnego i wyobrażają sobie, że tym sposobem usunęli niedomagania, troski i walki wielotysięcznych rzesz ludności. Niewątpliwie ostrygi muszą być smaczne, nawet dla nędzarza, ale nie zamienią mu się one na stały chleb powszedni, nie usuną jego ciągłej troski o jutro. Kąpiele i natryski dla dziatwy ubogiej są bardzo pożądane, ale jakiż one pożytek przyniosą, gdy ta sama dziatwa musi wracać do swych nor dusznych i brudnych? Co warta nauka poglądowa o hygienie, gdy te gromadki, które posiędą pojęcie o niej, będą musiały w życiowej walce o byt pogwałcić najelementarniejsze zasady hygieny? Pielęgnowanie zębów jest dobre i chwalebne, ale przeklnie biedak ich całość i czystość, gdy nie będzie miał dla nich chleba do gryzienia.

Filantropia nasza pozostaje zawsze tylko filantropią, i to typową, odwieczną. Bogaci obywatele kraju (nie arystokracya), w ostatnich zwłaszcza czasach, czynią znaczne, nawet zdumiewająco wielkie zapisy na cele publiczne; ale rzadko kiedy ze zrozumieniem i odczuciem istotnych potrzeb ogółu. Obdarzają oni swoimi legatami bądź instytucye martwe, jałowe, bądź też stawiają takie dla siebie pomniki za życia, na których społeczeństwo nic nie zyskuje, ani pod względem moralnym, ani materyalnym. Dlatego też owe zapisy i ofiary nie mają charakteru pomocy społecznej, lecz są tylko pewną formą miłosierdzia lub prostej jałmużny. O tem, ażeby ułatwić licznym rzeszom ubogim stałe warunki istnienia, uprzystępnić i rozszerzyć im pola pracy zarobkowej, podnieść jej intensywność i wartość za pomocą rozszerzenia widnokręgu oświaty, mało kto myślał dotąd. Doprawdy, warto, ażeby się znalazł jakiś hojny ofiarodawca, któryby stworzył dla naszych bogatych filantropów instytut, zapoznający ich z rdzennemi potrzebami i niedomaganiami społecznemi. Dziś, nie mając możności zaglądania w głąb życia, tworzą oni instytucye zbytkowne, które byłyby istotnie pożyteczne, ale dopiero po wprowadzeniu zasadniczych zmian w warunkach istnienia. Albo też, jak rzekliśmy, topią swe porywy filantropijne i zarazem duże sumy w instytucyach i urządzeniach jałowych. Jednocześnie z drugiej strony daje się zauważyć znamienne zjawisko: Niezamożne, światłe warstwy społeczeństwa kołaczą mozolnie i zbierają drobne ofiary na przedsięwzięcia i czyny, mające na celu istotne dobro powszechne. Ileż u nas na tej drodze rozchwiało się czynów i zabiegów ważnych, jedynie tylko z braku środków odpowiednich, których ludzie niezamożni, chociaż zsolidaryzowani, nie mogli zebrać! Tylko naród społecznie dojrzały i głęboko uświadomiony może budować i wzmacniać swe podstawy duchowe i materyalne własnemi siłami.

Z GALICYI.

Konstytucya austryacka i jej zawieszenie. — Rozruchy w powiatach Jasielskim i Nowo Sądeckim. — Żydzi i ich stosunek do ludności miejscowej. — Winy rządu austryackiego. — Powrót absolutyzmu. — Zjazd dziennikarzy w Pradze. — Zmiana frontu u Czechów. — Co nam Czesi dać mogą? — Spasowicz, Brandt i Komarow.

Położenie teraźniejsze Austryi zaczyna być ciekawem i pouczającem, bo można się przekonać, że narody, posiadające rządy parlamentarne, o które długie lata walczono, mogą być bardzo nieszczęśliwe, a cały parlamentaryzm jest podobny do zwykłej panterki, której kucharz, ułożywszy ją ślicznie na półmisku, przyprawia ogon i skrzydła bażanta. Iluż to ludzi spożywa tego najkrzykliwszego ptaka naszych folwarków w tem przekonaniu, że jedzą bażanta! Wszystkie konstytucye i parlamentaryzmy dzisiejsze są tylko wzajemnem oszukiwaniem się, bo do każdej konstytucyi przyprawią w końcu jakiś paragraf 14, który odrazu zmienia całą sytuacyę: zamiast samorządu, wychodzi na scenę samowola, ślicznie odziana w skrzydła i ogon „obrony ładu i porządku," a do wykonywania sprawiedliwości wzywa się wówczas — armię. I zaczyna się kieroszowanie na prawo i na lewo — najczęściej niewinnych. To nazywa się „zawieszeniem konstytucyi." Dziwię się, że tego nie nazywają powieszeniem konstytucyi, tem bardziej, że byłby to jedyny wypadek tego rodzaju nieszkodliwy. Prawdę mówiąc, taką konstytucyę, jak austryacka, już dawno warto było powiesić.

Wiadomo, że w powiecie Jasielskim i Nowo-Sądeckim, jako też w sąsiednich rozpoczęły się poważne rozruchy włościańskie. Charakter ich bardzo smutny i bardzo w gruncie rzeczy bolesny. Czemże właściwie są te rozruchy i przeciw komu skierowane? Przez kraj cały od Czerniowiec do Granicy przebiega hasło jedno: bić Żydów! Niema wsi, niema zakątka, gdzieby o tem nie mówiono, gdzieby skarga na Żydów nie rozlegała się gorzko z ust wszystkich bez wyjątku. Z takim faktem trzeba się liczyć. Nie należę bynajmniej do tych, którzy w podobnych wypadkach puszczają folgę swojej osobistej niesympatyi, wiem, że na szali naszego życia ważą względy humanitarne, etyczne, a nawet daleko bliższe — a jednak fakt tak głębokiej i powszechnej nienawiści ludności wiejskiej i robotniczej do Żydów zmusza poprostu do uzupełnienia przekonań i poglądów na tę sprawę. Juści, mówiąc o Żydach wogóle, nie mam na myśli tych, którzy urodzeni, wychowani, wzbogaceni pośród nas, idą z naszem społeczeństwem ręka w rękę, pracują i żyją z nami, ale ciemną masę, obcą, obojętną, nieżyczliwą, chowaną w odrębności religijnej, plemiennej i społecznej, niczem ze społeczeństwem niezwiązaną i niechcącą się wiązać, a górującą nad swojem otoczeniem zdolnościami kupieckiemi, sprytem przemysłowym i bezwzględnością w środkach i drogach, wiodących do zdobycia chleba powszedniego. Taka ludność jest równouprawnioną z ludem, śród którego mieszka. Równouprawnie polityczne nie idzie tu wszakże w parze z obywatelskiem i moralnem. Stąd też, przy posiadaniu równych praw, Żydzi wzięli w zupełną niewolę ludność wiejską na wsi, a robotniczą w mieście. Bez błędu można powiedzieć, że wszystkie gałęzie dochodowe są w ich ręku: drobny handel wiejski wyłącznie należy do nich, w miasteczkach tak samo. Rzadko

---

aż het! — na kraj widnokręgu. Cisza była niezrównana — dokoła ani żywej duszy. Przede mną jaskrawe słońce krąg swój chyliło już ku ziemi, ścieląc nisko, po ścierniskach pól rozległych swe błyszczące złotem promienie. W ich blasku każdy przedmiot posiadał odrębną, właściwą sobie fizyognomię: każdy kamyk, każda słomka na polu widoczne były zdaleka, a nawet pyłki kurzu, wirującego dokoła bryczki, wyraźnie odcinały się jedne od drugich.

Ładne to wszystko było — ani słowa! Ale mój umysł pracował wówczas nad zagadnieniem, wobec którego w kąt szły najpiękniejsze uroki natury: pragnąłem obliczyć przypuszczalny dochód, jaki będę miał w tym roku z buraków. Przymknąłem oczy, aby móc uwagę skupić wyłącznie na tej interesującej kwestyi — i liczyłem. Sto morgów... po pięćdziesiąt, no, może po sześćdziesiąt berkowców, to wyniesie sześć tysięcy berkowców... po rubel dziesięć (jeśli i tego nie obetną) za berkowiec... otrzymamy mniej więcej półsiodma tysiąca rubli... półsiodma tysiąca rubli...

Przechyliła się bryczka w jakimś zeszłorocznym wyboju i mimowoli otworzyłem oczy. Cyfry rozwiały się, jakby na powietrzu były pisane. Słońce już zapadło. Zorze, ogarniające pół nieba, gorzały teraz całem bogactwem świetnych kolorów. Zapatrzyłem się w długie, wzorzyste smugi purpury i złota, te znikome resztki ożywczego światła.

Aż oto zorze poczęły gasnąć. Szary półzmrok otulał dalekie widnokręgi, biegł chyłkiem po polach, czaił się w każdem zagłębieniu, aby z tem większym impetem posunąć się dalej. Wreszcie zakrył wszystko. Na wschodzie zabłysły cztery gwiazdy Pegaza: czas jakiś migotały niewyraźnie jakby nieśmiało, lecz stopniowo nabierając wyrazistości, zajaśniały wreszcie całym swym blaskiem. Jednocześnie poczęły rozpalać się inne gwiazdy, zarzucając całe niebo mnóstwem migotliwych płomyków. Przede mną, na południowym widnokręgu, jaśniał nizko nad ziemią błyszczący Koziorożec.

Od Dniepru ciągnął świeży, przenikliwy opar rzeczny. Robiło się chłodno. Otuliłem się w burkę i próbowałem zdrzemnąć się trochę. Ale nie łatwa to była sprawa wobec trzęsącej bryczki i wczesnej jeszcze godziny. Z utęsknieniem rozmyślałem o domu, moim domu, gdzie wszyscy na mnie czekają, obliczając zawczasu przypuszczalną godzinę mego powrotu. Samowar gorący już kipi—i będzie kipiał choćby do północy... dłużej nawet... Lecz ja nieprędko jeszcze tam zajadę. Z Czerkas liczą sześćdziesiąt wiorst. Ujechałem z dziesięć—a więc kawał drogi mam przed sobą.

To znowu zwracałem uwagę na otaczające mnie szczegóły.

Konie pochyliły łby i biegną miarowo dobrym truchtem, z łoskotem uderzając kopytami o ziemię, zeskorupiałą od sierpniowych upałów. Koła toczą się żwawo po gładkiej, jak stół drodze, rozgłos ich hałaśliwego turkotu daleko odbija się w powietrzu. Maksym na koźle zgarbił się, zgiął jakoś, i siedzi bezwładnie.. może drzemie... A dokoła taka pustka bezdenna, taka cisza przeraźliwa, że chwilami wydaje mi się, jakoby świat cały wymarł, i ja sam jeden błąkam się po nim podobny do ciał niebieskich, tułających się po przestworach. Gdyby choć pies zaszczekał... Ale wiem dobrze, że do wsi nieprędko jeszcze zajadę, gdyż wszystkie osady ludzkie na prawo poprzytulały się do wielkiego boru, a na lewo śpią nad brzegami cichej Taśminy. Tu, na stepie, nie spotkasz w nocy ani żywej duszy.

Nagle w tę ciszę śmiertelną wpada dźwięk jakiś, odbija się wśród cichych pól donośnem echem i sunie napowrót... Po chwili znowu to samo... i znowu... Zaczyna mnie to zaciekawiać. Prostuję się na siedzeniu i podnoszę głowę. Po pewnym czasie słyszę już jakiś hałas, ale pojedynczych dźwięków rozpoznać nie mogę. Mój Maksym na koźle też coś posłyszał. Odwraca się bokiem i nadstawia ucha. Słuchamy razem. Oto głuchy, donośny

gdzie istnieje sklep chrześciański, bo Żydzi łączą się wówczas z sobą i zrujnują każdego. Wszystkie propinacye — w ich ręku; wszystkie browary do nich należą, z wyjątkiem wielkich przedsiębiorstw, które samą siłą kapitału bronić się mogą. Niema wsi, gdzieby Żydzi nie uprawiali lichwy. W miasteczkach oni nakładają ceny na mięso i chleb, na zboże i mąkę. Handel produktami spożywczymi prowadzą bez żadnej kontroli rządowej; ceny nakładają dowolne, nie stojące w żadnym stosunku do cen produktu surowego, mąkę fałszują dodatkiem fasoli i bobu. To samo oni praktykują wszędzie, ale nie w tym stopniu, nie z takiem lekceważeniem wszelkiego prawa, jak tutaj.

Galicya w ciągu ostatnich lat była ciągle nawiedzaną klęskami nieurodzaju i wylewów; zeszły rok należał do najcięższych. Rzadko który powiat mógł się wyżywić tem, co zebrał a jednak w jesieni trzeba było płacić podatki. Poszły żyto i pszenica, a nawet ziemniaki za bezcen— a któż kupił? Żyd. Nie jest bynajmniej jego winą, że włościanin nie ma kredytu, ale ten sam Żyd na wiosnę to samo żyto sprzedawał cztery razy drożej, niż kupił. Cóż dziwnego, że głodny i rozgoryczony włościanin cały wybuch swojej rozpaczy przenosi na tego, który z niego żyje. Nie chcę bynajmniej w ten sposób usprawiedliwić gwałtów, pragnę tylko przedstawić psychologię tego czynu.

Byłbym bardzo niesprawiedliwym, gdybym o przyczynę rozruchów włościańskich obwiniał tylko Żydów. Daleko winniejszy jest rząd i jego urzędnicy — Polacy, niestety! Zamiast obmyśleć taki system finansowy, któryby i potrzebom państwowym czynił zadość i nie wydzierał ludności tego, co posiada do zjedzenia zaledwie, on ma i trzyma się tylko jednej metody: podwyższa podatki. Podwyższa je nawet wtenczas, kiedy wydaje prawo o zniżeniu, bo jak zacznie to prawo wyjaśniać, to wyjdzie w końcu na to, że trzeba płacić więcej. Tak się przecie stało „z ulgami podatkowemi.“ Własność ziemska włościańska jest drobna, odłużona i nieproduktyjna. Podatek spadkowy niszczy ją do reszty. Jeżeli wartość ziemi średniego gospodarstwa włościańskiego wynosi np. 500 złr., to podatku spadkowego trzeba zapłacić wogóle 20%, co czyni 10 złr., najmniej 5 kosztuje notaryusz — i oto odrazu zjawia się suma, którą trzeba pożyczyć. Jeżeli nie ma krowy lub konia do sprzedania na zapłacenie podatku, można śmiało powiedzieć, że syn szczęśliwego spadkobiercy już nie będzie właścicielem. Dwukrotne przejście własności ziemskiej z rąk do rąk w ciągu kilku lat zrujnuje każdego. Tak więc: ludzie są głodni, przeciążeni podatkami, wyzyskiwani przez Żydów, niebronieni przez nikogo, nawet przez sądy, bo często brak dowiedzionego faktu do obwinienia — z czegóż oni mają być u licha zadowoleni? Dla nich konstytucya austryacka tyleż warta, co i dahomejska.

Wyniszczona zatem, zgłodniała, zniecierpliwiona ludność rzuca się na tych, których uważa za najbliższych krzywdzicieli. Głód jest złym doradcą — to rzecz wiadoma; pokrzywdzeni lekceważą sprawiedliwość — pisaną.

Chwila smutnego wybuchu ludowego zbiegła się z odroczeniem parlamentu wiedeńskiego, ze zjazdem dziennikarzy słowiańskich w Pradze i z uroczystością odsłonięcia nareszcie pomnika Mickiewicza w Krakowie.

Już dawniej obiegały pogłoski o powrocie rządów absolutnych w Austryi. Oczywiście, nawet absolutyzm musi być teraz rozumniejszy, niż był za czasów Metternicha. W jakie sukienki on się ubierze i czy długo je będzie nosił, tego nie wiem, a w proroctwa bawić się nie lubię. To tylko widać, że już austryackie pazury na wierzch wylazły. D. 29 czerwca wyszło rozporządzenie stosowania praw wyjątkowych dla 33 powiatów, a w Nowym Sączu i w Limanowej zaprowadzono sądy doraźne, czyli mówiąc inaczej — wojskowe. Dobrodziejstwa tego już się dają odczuwać. Przedewszystkiem zawieszono wydawanie kilku dzienników. Dość sobie wyobrazić trzy dni takich rządów austryackich, a doczekamy tego, że będą zamknięte wszystkie pisma, wszystkie drukarnie i księgarnie, a na ulicy wolno będzie pokazywać się tylko z buzią, zawiązaną różową wstążeczką w fontaź. Łatwo zatraca się miara tego, co jest złe, a co pożyteczne, gdy wyrok zależy od kaprysu.

Obwiniliśmy włościan o to, że niszczą mienie Żydów, Żydów za ich bezwzględność w szukaniu środków do życia, o to, że osiemset lat mieszkając w naszym kraju, pozostali dla niego obojętni i obcy — ale czyż tylko winni ci — najciemniejsi i najubożsi? Obwiniałem rząd austryacki o nieszczerość, połowiczność, hipokryzyę polityczną, zdzierstwo ekonomiczne, a jednak, uderzmy się w piersi! — myśmy temu ciągle dopomagali. Nasi mężowie stanu, ratując finanse Austryi, nakładali na nas podatki; przyznawali wyższe pensye urzędnikom o trzy miliony, a nakładali podatki konsumcyjne na 40 milionów; pozwalali brać 20% podatku spadkowego z nędzy chłopskiej. Czyż na tem koniec? W Galicyi propinacya, jako prawo indywidualne zniesiona, ale pozostała jako prawo państwowe. Mówiąc krótko, te dochody, które brał dawniej szlachcic, bierze teraz rząd, a chłop, mając sposobność upijania się wszędzie, gdzie okiem rzuci, obficie korzysta z tego prawa. Żyd-arendarz tak samo jak dawniej siedzi w karczmie, tylko płaci drożej za prawo sprzedawania wódki, a płacąc drożej, musi obdzierać innych, musi okpiwać, bo on także chce żyć. Rząd austryacki wydzierżawia prawo propinacyjne rozmaitym potentatom powiatowym, a oni—Żydom*).

O zjeździe dziennikarzy w Pradze wiele byłoby do powiedzenia. Udał się on doskonale. Czesi okazali się bardzo zręcznymi twórcami bankietów politycznych. Mówili tak głośno i tak pięknie o poparciu, jakiego doznali od Polaków, a poparcie to istotnie było wielkiem nietylko ze strony politycznej, ale cywilizacyjnej, że można tym razem w szczerość czeską wierzyć. Tylko narody, nieprowadzące tak zwanej polityki zewnętrznej, mogą okazywać taką bezinteresowność, więcej powiem — hojność, jaką okazali Czechom Polacy. Za ciężkie krzywdy od nich doznane, za pomoc w ucisku nas, udzielaną jeszcze przed trzydziestu laty Niemcom, za wstrętne mowy Vaszatych i Heroldów zapłaciliśmy im po królewsku. Nie wiem, jak inni, ale ja powiem otwarcie, że słuchałem mów, pochwał, zaklęć czeskich z pewnym bólem. Czyż w ciągu trzech miesięcy stali się oni innymi? Gdzież leży granica między słowami, mającemi zakryć prawdę, a prawdą? Co nam Czesi dają za wielkie niezawodnie ofiary nasze w imię idei zwycięztwa Słowiańszczyzny w Austryi? Nie chcę dalej rozsnuwać wątpliwości, wolę czekać! Wogóle rzecz biorąc, zjazd praski nic nie przyniósł, oprócz hałasu — chyba tyle tylko, że napędził strachu Niemcom. Wylano tu dużo wody dziennikarskiej i padło dużo ckliwych frazesów na temat wspólności. Spasowicz

---

turkot pojazdu, aż ziemia jęczy, oto jakieś grzechotki i dzwoneczki... jakieś wrzaski ludzkie... jakaś muzyka... Niezawodnie ktoś jedzie za nami.

Maksym tak się zasłuchał w te dziwne odgłosy, że aż konie powstrzymał.

— Ruszaj! — krzyczę na niego.

Cmoka ustami i woła swym powolnym głosem ukraińca: A no, malo! Jedziemy. Konie też coś posłyszały, bo podniosły łby, strzygą uszami i lecą, jak ptaki. Hałas jednakże nie ustaje. Przeciwnie, rośnie z każdą chwilą. Jest tak niezwykły, że zaczynam szukać po kieszeniach, czy nie wziąłem rewolweru. Naturalnie, nie znajduję go, gdyż nawykłem brawować, znając doskonały i niezawodny przepis na wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa: plunąć w garść i walić przeciwnika w łeb bez namysłu. Nie zawiódł mnie ten sposób nigdy dotychczas. Ale teraz z powodu braku rewolweru robi mi się markotno. Zaczynam obliczać odległość, jaka mnie dzieli od tego dziwnego pojazdu. Chyba jeszcze ze cztery wiorsty...

Podnoszę się na siedzeniu i pilnie patrzę na drogę, czy nie dojrzę czego... Ale! gdzie tam!... Natomiast widzę czerwoną tarczę księżyca, wychylającą się z nocnych oparów, krążących po nad ziemią. Pełnia! Niedługo zrobi się widno, jak w sali balowej. Zobaczymy ich i porachujemy! W tej chwili jednak przychodzi refleksya, że i nas także zobaczą i porachują. Konie suną wyciągniętego klusa, ale ja wołam znowu:

— Popędzaj Maksymie!

On zaś odwraca swą szeroką, poczciwą twarz.

Ażem drgnął.

— Bodaj cię połamało puszczyku! — chcę go zgromić, ale się powstrzymuję. — W duchu robię uwagę, że jednak Maksym, ten słynny czop barani, ma w sobie odrobinę kalkulacyi Przypuszczenie jego posiada dużo cech prawdopodobieństwa. Rzeczywiście, ci, co za nami jadą, muszą być ludźmi nienormalnymi. Jest ich kilku, bo wrzask okropny... przygrywają sobie na harmonice... konie puścili galopem... Widocznie chcą nas dopędzić.

Maksym ujął silnie lejce w ręku i o mało ze skóry nie wyskoczy. Popędza, aż miło. Jedziemy tak czas jakiś. Ujechaliśmy znowu kawałek drogi. Może pół wiorsty... może dwie... Nie wiem. Nie jestem w stanie myśleć systematycznie. Odległość, dzieląca nas, zmniejsza się gwałtownie. Zaczynam uczuwać coś w rodzaju niepokoju.

Na chwilę przycichli nieco, słychać tylko tentent ich rozhukanych koni. Aż nagle zabrzmiała pieśń... tęskna, przeciągła, melodyjna... chwilami ścisza się w szept błagalny, nieuchwytny, to znów przeskakuje do najwyższych tonów i wówczas huczy i szaleje, jak groźba krwiożercza, okrutna...

W jednej chwili zrozumiałem wszystko. Teraz już wiem, z kim mam do czynienia. Są to przybysze ze wschodu, którzy przed kilku laty trafili do Czerkas, gdzie osiedlili się na przedmieściach, jako rzemieślnicy. Przeważnie są to ludzie pracowici, trzeźwi, spokojni. Skoro jednak który się rozhula, granic wówczas nie zna jego fantazya. Tak widocznie i z tymi się stało. Napotkanych w nocy Żydów zamordowali dla błahego może powodu, jakiejś sprzeczki, i teraz jeździć będą po drogach i rozbijać, dopóki nie dosięgnie ich karząca ręka sprawiedliwości.

— Źle jest — mówię do siebie, otulam się znowu w burkę i wciskam w kąt bryczki.

Księżyc podniósł się już dość wysoko. W jego bladem, lecz czystem świetle widzę już teraz poza sobą czarny ruchliwy punkcik, podobny do rozwścieczonego skorpiona. Denerwuje mnie widok ciągłego zbliżania się tego owadu, więc odwracam głowę i patrzę przed siebie Step i step bez końca. Lecz oto po prawej ręce majaczy jakaś długa, czarna linia. To chyba las. Tamby się warto dostać. Cóż, kiedy, zanimbym tam dojechał, wpierw by ko-

z Brandtem i Komarowem w przyjacielskiej jedności myśli i uczuć, odegrali nie najlepszą wprawdzie, lecz najgłówniejszą rolę. Redaktor *Świetu* został w Pradze, a Spasowicz i Brandt pojechali jeszcze do Krakowa na uroczystość odsłonięcia pomnika A. Mickiewicza.

Cho.

---

*) *Uwaga.* Być może, że szybkość w zaprowadzeniu i surowość w zastosowaniu praw wyjątkowych i sądów doraźnych świadczy o energii władz; być może, że tą siłą rozruchy będą stłumione; ale jeżeli na tem się skończy zadanie stróżów bezpieczeństwa publicznego i rządców kraju, to doprawdy najoczywistsze fakty nie mają dla ich rozumów i sumień dostatecznej wymowy. Rozboje i rabunki są faktem smutnym, ale smutnym także faktem jest niedola ludu galicyjskiego, który poprostu oszalał z rozpaczy. Zdaje nam się przeto, że skończywszy karę, trzeba zacząć poprawę stosunków, które spowodowały wybuch. Politycy galicyjscy mają obecnymi wypadkami oczy już nie przetarte, nie rozwarte, ale wyłupione dowodami, które im ukazują, gdzie powinni zwrócić energię, błąkającą się po krętych ścieżkach wielkiej polityki. Lud, lud głodny, wydziedziczony z ziemi, wyniszczony podatkami, pozbawiony sprawiedliwości, opieki i miłosierdzia, powinien być ważniejszym przedmiotem troski i starań, niż rozmaite zawieszone w Wiedniu kąski sadła urzędniczego, do których skaczą i połykają ślinę politycy galicyjscy. Obecne wrzenie to nietylko klęska, to przedewszystkiem straszny wyrzut i przestroga.

Red.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Filantropia czy nauka?

Nieboszczyk Jędrzejewicz był bezwątpienia niepospolitą postacią naszego społeczeństwa. Będąc lekarzem, zajętym praktyką prowincyonalną, wykształcić się gruntownie w astronomii, zbudować własnymi środkami obserwatorium w małej mieścinie, zaopatrzyć je w doskonałe i kosztowne przyrządy, prowadzić przez szereg lat najściślejsze spostrzeżenia — zaiste, na to potrzeba mieć wielki umysł i dzielny charakter. Śmierć, zabierając go przedwcześnie, popełniła jedno z tych brutalnych okrucieństw, do jakich tylko ona jest zdolna. Straciwszy nieocenionego badacza, należało przynajmniej uratować pozostałą po nim spuściznę — przyrządy. Niestety, długo one czekały w pakach na jakąś litościwą i wspaniałomyślną rękę. Nabył je wreszcie hr. Branicki, ale po to tylko, ażeby ocalić od zniszczenia. Nareszcie znowu wystąpili z ratunkiem arcykapłani naszej filantropii — pp. Wawelberg i Rotwand. Na gruncie szkoły technicznej wznieśli odpowiedni budynek, w którym pomieszczone zostały wszystkie narzędzia astronomiczne Jędrzejewicza do użytku naukowego.

Podobno budynek ten ma kilka szczegółów wadliwych (zwłaszcza słupy nie są dostatecznie umocowane); ale to są drobiazgi, które łatwo poprawić można. Główna rzecz spoczywa w pytaniu: kto będzie zarządzał, a raczej kto będzie *naukowo* korzystał z instytucyi i jej środków? Mamy bowiem obserwatorium, mamy w niem wartościowe teleskopy, spektroskopy itd., ale to dopiero warsztat pracy, kto zaś przy nim stanie? Filantropia skończyła swoje zadanie, teraz kolej na naukę. Wymieniono w pismach, jako tymczasowego kierownika, nazwisko młodego człowieka, który może mieć najlepsze chęci, wszakże, jak nas objaśniono, nie jest przygotowanym do tak trudnej roli. Zajmował się bowiem przeważnie muzyką, nie przeszedł potrzebnych ani teoretycznych, ani praktycznych studyów, a całą jego działalnością na polu astronomii była dotychczas wiązanka popularnych artykulików dziennikarskich z tej dziedziny. To za mało dla podjęcia pracy, przerwanej przez Jędrzejewicza.

Rzeczywiście wybór jest bardzo kłopotliwy. Ojczyzna Kopernika doczekała się tego, że zamiłowanie do badań astronomicznych prawie w niej wygasło, że dziś nie mamy uczonego, któremu można byłoby z otuchą i nadzieją powierzyć nowonarodzone obserwatoryum. A zważyć trzeba, że chodzi nietylko o to, ażeby ktoś z korzyścią dla wiedzy zużytkował umiejętnie warsztat obecny, ale żeby owocną swą działalnością ściągnął nowe ofiary, które pozwoliłyby zaczątkową instytucyę rozszerzyć i zbogacić. W przeciwnym razie ona powoli zaniknie. Na przyrządach Jędrzejewicza zawieszone są dotąd żałobne krepy; niechże je zdejmie ręka godna prowadzić dalej jego dzieło. Wdzięczni jesteśmy filantropii za to, co nam ofiarowała, ale w nowym przybytku pragniemy widzieć siedlisko nauki.

Język cerkiewno słowiański.

W *Warsz. Dniewniku* pomieszczony został obszerny artykuł p. A. M. K. o nauce języka cerkiewno - słowiańskiego w naszych szkołach średnich. Wywód i wnioski autora (nauczyciela) są tak gruntowne, bezstronne, na znajomości rzeczy oparte, że uważamy za obowiązek zwrócić na nie uwagę czytelników naszych. Rozebrawszy motywy wprowadzenia tego języka do programów szkolnych, p. K. poddaje krytyce ich zastosowanie i następstwa praktyczne. „Należy—powiada on—uwzględnić warunki miejscowe, w których znajduje się sprawa szkolna w kraju tutejszym. Przy mieszanym składzie uczących się, nauczyciel języka rosyjskiego powinien liczyć się z trzema gramatykami: rosyjską, cerkiewno-słowiańską i polską. Wszyscy my nauczyciele praktycy wiemy, że śród naszych uczniów i uczenie jest ogromna, przygniatająca większość, która za progiem gimnazyum mówi tylko po polsku. Używanie tedy języka rosyjskiego jest właściwie bardzo nieznaczne. W takich to warunkach trzeba wykładać język rosyjski, jako przedmiót główny i obowiązkowy. Cóż mówić o cerkownosłowiańskim, którego trudności nauczenia się powiększają jeszcze inne elementy! Wyobrażam sobie, z jakim wstrętem czytana jest nasza Ostromirowa ewangelia. A po co i na co to wszystko? Ażeby objaśnić naukowo niemożliwość pisania głoski *jat'* w odmianie rzeczowników rodzaju nijakiego, pokrewieństwo pierwiastków w wyrazach *zwuk* i *zwon*, albo znaczenie przystawki *by* w trybie warunkowym itp. subtelności i właściwości fonetyki i etymologii?

Zdaje mi się, że zachodzi tu jakieś fatalne nieporozumienie między twórcami programu i jego wykonawcami. Że *nauczyciel* powinien znać naukowe podstawy

---

nie sto razy wszystkie nogi połamały na granicznych miedzach i miękkich podorywkach!

Siadam przeto znowu w najbezpieczniejszym kącie mego siedzenia i usiłuję zapanować na sobą.

Maksym nic nie mówi, ale z każdego ruchu widzę, że jego odwaga trafiła już do pięt — jest więc na wylocie. Popędza wciąż konie, które i bez tego idą, jak smoki. Wyciągnięty ich kłus jest szalonym biegiem, jeszcze kilka wiorst i padną.

Nagle w blizkości — ach, jak blisko! — rozlega się wrzask straszny, nieludzki, obydny. Konie, spłoszone, zrywają się do galopa, lecz Maksym powściąga je wbrew własnej woli, pamiętając widocznie nauki o poszanowaniu koni, które nieraz na karku mu wykładałem. Tego już było zanadto.

— Puszczaj je! — rycze, chwytając go za kark i wstrząsając silnie.

Jednocześnie czuję, iż skóra od karku zaczyna mi cierpnąć. Mam teraz na całem ciele takie uczucia, jakby mię tknął paraliż. Nie jestem przytem w stanie słowa z siebie wydobyć. Ogarnia mnie takie przerażenie, że... że dotychczas nie wiem, co się dalej ze mną działo.

Co się jednak dokoła mnie robiło, to słyszałem i czułem wybornie.

Konie moje szły galopem i zrazu odsadziły się naprzód na kawał drogi. Lecz tamci spostrzegłszy to, poczęli ryczeć, jak bawoły, i puścili swoje konie do najszybszego pędu. Znowu dzieląca nas odległość zaczęła się zmniejszać. Nagle uczułem gwałtowne wstrząśnienie i usłyszałem zgrzyt i chrzęst całej bryczki, skręcanej na miejscu. — Musiał Maksym zboczyć z drogi — przeleciało mi przez głowę. Lecz pędziliśmy dalej bez przerwy.

Doznawałem uczucia strasznej, niewysłowionej męki, jakby na średniowiecznych najwymyślniejszych torturach. W tem zupełnem unicestwieniu myśli i woli istniała świadomość jednego tylko: uciekać, uciekać, uciekać!

Wtem — stój! — stanęliśmy. Zerwałem się na równe nogi. Maksym, stojąc, ściągnął konie, aż poprzysiadały na zadach, ale powstrzymał je na miejscu. Rzucił mi lejce, które ja w okamgnieniu podjąłem, a sam zeskoczył z bryczki. Rozejrzawszy się w ciemnościach, dojrzałem tuż przed końmi szlaban, broniący wjazdu do lasu. Maksym podbiegł szybko i wysunął grubą belkę, robiąc wolny przejazd. Skierowałem tam konie i po chwili byliśmy już w lesie. Obejrzałem się teraz: Maksym z wysiłkiem zasuwał belkę na dawne miejsce. — Może nie zdąży — błysnęła mi myśl, gdyż prześladowcy nasi byli tuż-tuż...

Wróciła mi odrazu cała energia. O Maksyma byłem spokojny: miał zawsze możność schowania się w lesie. Podciąłem więc konie aby odjechać trochę.

Nagle posłyszałem straszliwy łomot, jakby ze stu dział razem wystrzelono. Szlaban zaskrzypiał pod gwałtownym naciskiem rozhukanego pojazdu, ale oparł się skutecznie. Zakotłowało się wszystko, jakby ziemia się zatrzęsła. I buchnęły ku niebu ogromną falą zmieszane w jeden ryk okropny: jęki konających, rzężenie koni i wrzask ostry, a krótki.

Bór cały ożył i z krańca w kraniec rozbrzmiewał tym rykiem. Najdziksze ostępy odbijały go echem i niosły dalej. Tylko coraz smutniej i smutniej brzmiała ta melodya.

—Zdążył—szepnąłem, lecz w tej chwili Maksym był już na koźle.

Oddałem mu lejce i boczną drogą, przez las, wróciliśmy do domu.

Edward Maliszewski.



i prawa morfologii języka, wszystkie jego pierwiastki — to nie podlega sporowi; ale żeby to wszystko było potrzebne uczącym się — można wątpić.

Stąd też występuje to smutne zjawisko, że nauka języka cerkiewno-słowiańskiego sprowadza się w szkołach średnich do prostego i jawnego *kucia* jego fonetyki i etymologii. Możecie znaleźć w gimnazyach uczniów, których niepodobna złapać na deklinacyi lub koniugacyi tego języka; ale czego to dowodzi i jakimi środkami się osiąga? Dowodzi tylko tego, że władza nauczycielska w gimnazyum jest bardzo wielka, a powaga dwójek i jedynek jeszcze większa; ale żeby uczący się, przeszedłszy kurs języka cerkiewno-słowiańskiego, chociażby na jotę więcej *polubili* język rosyjski — tego nie wykaże żaden nauczyciel.

Niech nam nie mówią, że w szkole nie powinno być sympatyj i antypatyj. Bo nie chodzi o to, *co powinno być*, ale o to, co *jest*. Sympatye lub antypatye do tego lub drugiego przedmiotu studyów gimnazyalnych są i będą, a nie wykorzenią ich żadne cyrkularze i przymusy. Rozbierając zaś w tym wypadku przyczyny wstrętu, dochodzimy do wniosku, że one tkwią nietylko w nauczycielach i uczniach, ale też w samym przedmiocie nauki."

Naturalnie cały wywód autora zmierza do wykazania konieczności usunięcia z programów szkolnych języka cerkiewno-słowiańskiego, który w nich jest teoretycznie nieusprawiedliwiony.

Pochodzenie tego artykułu od nauczyciela rosyjskiego, pismo, w którem on się ukazał — zapobiegają chyba dostatecznie wszelkim posądzeniom o stronność i wyłączne uwzględnianie dobra dzieci polskich.

Kursy piwowarskie.

Oddawna uczuwany w tutejszym przemyśle piwowarskim brak wykształconych pracowników pobudził grono osób, interesowanych w tej sprawie osobiście i obywatelsko, do wytworzenia rodzaju szkoły przygotowawczej z kierunkiem i celem praktycznym. Z tej potrzeby, zrodzonych przez nią starań i ofiar powstały kursy, które przyłączono do szkoły technicznej Święcimskiego, a urządzono według wzorów wytworzonych za granicą. Mają być w nich wykładane: piwowarstwo oraz związane z niem technologia i mechanika, fizyka, chemia, rachunkowość handlowa i techniczna, prawo fabryczne, pomoc lekarska, weterynarya. Naturalnie wszystkie te przedmioty będą przykrojone do głównego. Zapisywać się na nie mogą kandydaci, którzy odbyli praktykę w browarach i wyzwoleni zostali na czeladników. Opłata roczna wynosi 50 rs.

Produkcya piwa dosięga u nas 2 milionów rubli rocznie — jest to więc bardzo poważna gałąź przemysłu, która nie może dalej rozwijać się drogą samej rutyny i musi wprowadzić do swych sił czynnych nieco światła, gdzieindziej jaśniejącego bardzo mocno. Wogóle zdaje się, że dla naszego piwowarstwa nadszedł czas reformy i postępu, a przynajmniej jakiegoś ruchu, który może jego imponującemu rozrostowi ilościowemu nada większą wartość jakościową. A niepodobna ukrywać, że piwo nasze jest ogółem bardzo liche.

Po niemiecku.

Dawniej *po niemiecku* znaczyło: prawnie, porządnie i humanitarnie. Dziś zaś znaczy: bezprawnie, samowolnie i dziko. Mogą sobie synowie Germanii bronić swego honoru „kulturalnego," mogą szydzić z barbarzyńców i pół-azyatów, w oczach całego świata zgasła ich aureola narodu wysoko cywilizowanego. Nowy tego dowód. Na początku sierpnia miał się odbyć w Poznaniu zjazd lekarzy i przyrodników polskich. Poprzednio tego rodzaju zebrania w innych miastach przekonały, że na nich nie skrzesała się najmniejsza iskra jakiejkolwiek agitacyi politycznej i że one służyły wyłącznie celom naukowym. Więc i w Poznaniu nie myślano urządzać żadnego widowiska, palić szybko gasnącej słomy lub wypuszczać rakiet demonstracyjnych, lecz zamierzono obradować jedynie nad zagadnieniami wiedzy przyrodniczej i lekarskiej. Pomimo to wyszedł zakaz, zabraniający uczestnictwa w zjeździe „cudzoziemcom." Po co tą przejrzystą zasłoną okryto brzydotę — trudno zrozumieć. Widocznie łatwiej stracić dużo wstydu — niż ostatnią jego resztę. Naturalnie sami Poznańczycy zjazdu dla siebie nie urządzą, więc został on odwołany.

Jakkolwiek ten nowy objaw dzikości niemieckiej jest wstrętny i jakkolwiek dotknął on tych, którym odebrał możliwość porozumienia się naukowego, ma on swoją dobrą stronę. Jeszcze raz przekonał, czego od Niemców spodziewać się można, jeszcze raz dowiódł, że oni, omijając z szyderstwem wygrywających czule ku nim pienia Kościelskich, idą coraz bardziej przyspieszonym krokiem po drodze prześladowania i zagłady. Przyświeca im na niej ciągle złowrogą pochodnią Bismarck, który w przerwach między jękami śród bólów newralgicznych krzyczy: „Kartagina powinna być zniszczona!"

Kasa lekarzy.

Śród większości ogółu dotychczas jeszcze panuje u nas mniemanie, że medycyna jest najzyskowniejszą dziedziną pracy; że kto ten zawód obierze, niewątpliwie bardzo prędko „dojdzie do majątku." W rzeczywistości, niestety, jest zupełnie inaczej. W medycynie, jak we wszystkich innych zawodach do bytu niezależnego i pewnego dochodzą tylko jednostki bądź wybitne pod względem zdolności, bądź — „szczęśliwe." Dziś bardzo duży procent lekarzy, szczególnie młodych, boryka się z niedostatkiem; w razie zaś choroby lub śmierci żywiciela i opiekuna, r dzina pozostaje bez środków do życia. Dotychczas nasi pracownicy na tej niwie nie mieli żadnej pomocy Istnieje wprawdzie Towarzystwo lekarskie, ale ratuje ono tylko lekarzy „podupadłych." Któż jednak, posiadający choć szczyptę miłości własnej, zechce się zapisać do tej kategoryi? Każdy woli w nędzy tonąć lub się oddać na pastwę lichwy, niż szukać pomocy w instytucyi, obdarzającej takim tytułem i łaską.

Wobec takiego stanu rzeczy wielką będzie miał zasługę dr. Zawadzki, który opracował ustawę kasy zaliczkowo-wkładowej dla lekarzy wolnopraktykujących m. Warszawy. Nie podajemy tu szczegółów ustawy, gdyż jest ona typową, jak wszelkie inne. Należy tylko przedsięwziąć energiczne starania, ażeby jak najprędzej dać jej życie.

Nowa postać kredytu.

Pisma rosyjskie donoszą, iż władzy właściwej złożono projekt organizacyi kredytu na kupno koni. Każdy gospodarz, który sam uprawia ziemię, może otrzymać pożyczkę. Pierwszeństwo wszakże służy tym, którzy nie posiadają wcale koni lub mają tylko jednego. Pożyczka nie może przewyższać sumy 30 rs. Ażeby dłużnik nie odczuwał bardzo ciężaru spłaty, może ona być dokonana sposobem amortyzacyjnym w ciągu sześciu lat. Konia nie wolno sprzedać przed ukończeniem całkowitej spłaty; natomiast można sprzedawać przychówek, ale z warunkiem, żeby sumą otrzymaną z tego źródła pokrywano dług, zaciągnięty na kupno konia. Nie wiemy, kto ten projekt złożył władzy i jakiej dzielnicy państwa on dotyczy. To tylko pewna, że kredyt tego rodzaju byłby pożądany i dla naszej ludności włościańskiej. Jeżeli więc władza przyjmie przychylnie wniosek powyższy, można będzie mieć nadzieję, że i u nas kredyt taki da się wytworzyć, z pewnem wszakże rozszerzeniem zakresu. Dziś coraz więcej jest włościan, pozbawionych inwentarza żywego, a więc i możności samodzielnego istnienia, choćby na najlichszym i najmniejszym kawałku gruntu. Dla chłopa koń lub krowa, to największe bogactwo, to dźwignia w jego nędznej gospodarce. Wielu jest takich nędzarzy, którzy posiadają jednego tylko konia lub jedną krowę. Niech je śmierć lub jeszcze częściej złodziej zabierze, a gospodarzowi i jego rodzinie grozi zupełna ruina i nędza. Otóż pożądane byłoby wprowadzenie kredytu na kupno wogóle inwentarza i nietylko w ograniczonej liczbie 30 rs. Pożyczki takie mógłby udzielać albo Bank państwa, albo włościański, naturalnie z pominięciem uciążliwej formalistyki.

BADANIA NAUKOWE.

MEDYA ŻYWIOŁOWE.

Przed czteru laty ogłosiłem w *Prawdzie* szereg artykułów, poświęconych głośnej podówczas sprawie medyumizmu. Pisałem tam w końcowym wstępie: „Wziąłem się do studyów bez żadnych dogmatów, nie podzielając naiwnej obawy, że podawane fakty podkopią powagę dzisiejszej wiedzy, ani nie wyznając tak szkodliwego uprzedzenia, żeśmy już zjedli wszystkie rozumy... Chociaż drzwi spirytystów są dla mnie zamknięte, myślę dalej prowadzić swoje studya. Nie idzie mi o fenomenologię cudów, lecz o psychologię medyów i łańcuchów, tę zasadniczą a dotychczas mało zbadaną podstawę pierwotną kapłaństwa i późniejszego sekciarstwa."

Od tego czasu udało mi się zetknąć zarówno z medyumizmem w żywej formie, tj. badać medya wraz z ich działalnością psychiczną, jako też spotykać go niejednokrotnie w pracach etnografów, opisujących szamanizm i nawet niewiedzących o wspólnej psychologii jego z medyumizmem europejskim. Usiłowałem poznać przedewszystkiem duchowość medyów, jako poniekąd klucz do zrozumienia ich stosunku do wytworzonych objawów.

W ciągu wiosny i lata w roku zeszłym dwukrotnie miałem sposobność obserwować żywiołową działalność tego rodzaju w Warszawie.

Było to w końcu maja r. 1897. Opowiedziano mi, że na ulicy Złotej coś straszy, tłucze sprzęty, wybija szyby i że wiadomość o tem ściąga na miejsce wypadku tłumy. Na razie nie umiano mi wskazać adresu i dopiero po upływie tygodnia, a może i więcej, zdobyłem go. Było to pod nr. 64 lub 66, dzisiaj już nie pamiętam. Stróż początkowo nie chciał udzielić żadnych informacyj, wreszcie rozgadał się, nagderał, że ciągle go nachodzą, i polecił iść do suteryn w podwórzu. Mieszkało tam w dwu izdebkach cztery stadła małżeńskie, pospołu prawdopodobnie kilkanaście osób różnej płci i wieku. I tu przyjęto mnie początkowo z nieufnością i rozgadano się na dobre zaledwie po upływie jakichś pół godziny. Szyby były powybijane i zaklejone papierem, zegar ścienny zdruzgotany, garnki potłuczone. zaczęto mi opowiadać o przesuwaniu się przedmiotów, np. szafy ze sprzętami kuchennymi, bez żadnego widocznego powodu, o zrzucaniu garnków z wrzątkiem, wybijaniu szyb itd. Słyszałem te same opowiadania kilkakrotnie od różnych o-

sób, mieszkających w zwiedzanej suterynie, i muszę zaznaczyć, iż nie znalazłem rażących sprzeczności. Zyskałem tam ufność zupełną: zaczęto widzieć we mnie osobę, która zdoła oswobodzić ich od niepotrzebnych wybryków „złego.“ Stukanie i rzucanie przedmiotami wszczęło się po raz pierwszy po kłótni dwóch lokatorek, przyczem mniemano, że wtedy jedna drugą „urzekła“ i zadała jej takiego „ktosia.“ Rzekoma uroczona miała około lat 30, dość regularne rysy, ale taką nerwową a chudą twarz i wogóle całą postawę, że gdybym był malarzem, wziąłbym ją za typ wiedźmy średniowiecznej — młodej jeszcze i przystojnej. Było coś nienormalnego w całej jej osobie. Jednego wieczoru wpadła w istny szał śpiewacki, piosenki cyniczne jedne po drugich następowały żywiołowo. Odwiedzałem często suterenę, spotykany zawsze opowiadaniami o nowych objawach i pokazywaniem świeżo potłuczonych sprzętów. Ani razu jednak nie byłem świadkiem żadnych objawów. Jednego dnia przysłano po mnie po jedenastej wieczorem, ażebym przybył na pomoc, gdyż odbywały się stukania i „rujnacye;“ nie byłem w domu i dopiero nazajutrz mogłem przekonać się o wyrządzonej szkodzie. Wyjazd mój z Warszawy przeszkodził dalszemu obserwowaniu, po powrocie zaś nie zdołałem odszukać kobiety, której nazwiska nie zapisałem. Ze spostrzeżeń blizko miesięcznych wyniosłem przeświadczenie, że przestrach tych ludzi był zupełnie szczery; również nie mogę wątpić o autentyczności szkód, które, jeśli weźmiemy pod uwagę nizką zamożność mieszkańców, były dość znaczne. Niema także powodu przypuszczać, iż chcieli żartować z sąsiadów, raczej ukrywali, o ile mogli, swoje przygody, zwłaszcza gdy przybyła policya, zaalarmowana zbiegowiskami. Jedynie powziąłem podejrzenie, że kobieta, o której wspominałem, może jest mistyfikatorką — bezwiedną lub bynajmniej na pół tylko świadomą czynów swoich, przyczem ofiarą jej kaprysów padało przedewszystkiem jej własne gospodarstwo. Była to natura, że tak powiem, fizyologicznie nieuczciwa, a raczej przewrotna.

Po raz drugi spotkałem takie medyum żywiołowe w jesieni roku zeszłego. W swoim czasie była to historya głośna w Warszawie, gazety o tem pisały, choć wiedziały bardzo mało. Jednego dnia zebrało się około setki członków bractwa religijnego, ażeby wygnać „złe“ za pomocą egzorcyzmów, władze policyjne i lekarskie wdały się również w tę sprawę. Dla uniknięcia korowodów i trzymania zdala natrętów, rozpuszczono pogłoskę, że wszystko ustało, tymczasem w cichości rzecz ciągnęła się dalej. Służąca była tam medyum żywiołowem. Stukanie, rzucanie przedmiotami, ustawianie piramid ze stołków i wogóle sprzętów kuchennych, dzwonienie itd., oto pierwotny repertuar objawów. Dziewczynę wypadło mi obserwować kilkakrotnie. Jednego razu znajdowałem się w pokoju, ona spała w kuchni rozebrana, pomiędzy kuchnią a pokojem ciągnął się długi korytarz, będący głównem miejscem popisów. Zamykaliśmy drzwi od kuchni, po minucie już były ustawione rzędy przedmiotów w pasażu: stolik, na nim stołek, na stołku konewka, jeszcze dalej siekiera. Odnosiliśmy na różne miejsca w kuchni te rzeczy, po chwili znowu znajdowaliśmy je ułożone w korytarzu. Na rozkaz dawały się słyszeć stukania w podłogę, w fajerkę, w szyby. Warunki były takie, że zawsze można było mniemać, iż służąca w sposób najpospolitszy dokonywa tego wszystkiego. Atoli trzeba było przyznać, iż robi to z nadzwyczajną zręcznością i szybkością: w ciągu minuty w ciemności znosi z kątów kuchni rzeczy, otwiera drzwi, ustawia przedmioty w korytarzyku, zamyka je, ma czas położyć się w łóżku i przybrać postawę tę samą, co dawniej, a my w odległości pięciu kroków nie słyszeliśmy jej stąpań, skrzypu drzwi, ustawiania rzeczy, tylko trzykrotne stukanie, ażebyśmy obejrzeli rezultat, dokonany z taką zręcznością. Również stukania w kuchni były uskuteczniane niezwykle szybko i zręcznie. Trzeba było przypuszczać niepospolitą elastyczność i swobodę. Z biegiem czasu rozpoczęły się inne objawy: służącą z łóżkiem przewracało, była ona nawznak położona na ziemi, na niej poduszki i pościel, wreszcie łóżko do góry nogami, a wszystko dokonane niespełna w minutę. Udało mi się złapać sprawczynię na kilku mistyfikacyach: posiadała kawałek ołowiu na sznurku, którym w ciemności rzucała na obecnych i później ściągała, kłuła szpilką po dłoni, gdy chciałem kontrolować jej ręce, że nie mówię o wielu zdarzeniach pomniejszych. Bywały chwile, iż nie wątpiłem, że mam przed sobą naturę w najwyższym stopniu przewrotną. Ale jednocześnie musiałem przyznać, że mistyfikacye są w znacznej mierze bezwiedne. Dziewczyna niekiedy wpadała w taki stan zesztywnięcia i naprężenia mięśni, iż trzeba było rozcierać ją po parę godzin, zanim normalna giętkość mięśni wróciła. Kilka razy musiała leżeć w łóżku przez dzień następny, gdyż kurcz nieustannie porywał mięśnie nogi. Nie czuła ukłócia szpilką. Słowem, znajdowała się w pewnym stanie somnambulicznym, w którym produkowała objawy, przyczem wierzyła, iż jest Henrykiem i ma lat 16. Nawet przypuściwszy systematyczną mistyfikacyę, musiałbym uwierzyć w znaczny, i to bardzo znaczny stopień bezwiednej, żywiołowej cerebracyi, której towarzyszyły pewne czyny na zewnątrz. Dodajmy, że stan uśpienia kataleptycznego posiadał wszelkie znamiona rzetelności, iż asocyacye i czyny bezwiedne odznaczały się logiką i zwartością, iż uśpieniu towarzyszyła niechęć do światła. Służąca, obawiając się ciemności i z krzykiem nieraz uciekając z pościeli w kuchni w normalnym biegu życia (tj. gdy nikt jej nie obserwował), prosiła o zapalenie światła. Znoszono po kilka lamp, które po wyjściu państwa były natychmiast gaszone. Udało mi się dostać pewne szczegóły o przeszłości dziewczyny — służyła przed ośmiu laty u moich znajomych, u których później zajęła miejsce jej siostra. Tam będąc, zachorowała w kościele podczas nabożeństwa: zemdlała, ciało zesztywniało. Podczas choroby widywała aniołów, Matkę Boską, wykazywała zdolności "jasnowidzenia." Siostra jej przechodziła stany podobne z pewną skłonnością ku letargom.

Są to dwa wypadki, przeze mnie osobiście badane. W tym samym czasie doszła mnie wiadomość o nieco analogicznych faktach w Wileńskiem, opowiadana przez naocznego świadka; słyszałem, że coś podobnego dzieje się i na ulicy Wiejskiej, gazety rozpisywały się o takich samych sztuczkach gdzieś w Galicyi—tylko w rozmiarach daleko obszerniejszych. Wypadło mi przestudyować akta sądowe, wydane przez Aksakowa a dotyczące takich samych objawów medyumistycznych, lecz zakończonych pożarem domu. Prasa petersburska podawała wiadomość o straszeniu gdzieś w obrębie Petersburga. Co do mnie, wobec tego, co oglądałem, wierzę w autentyczność tych faktów. Chodzi tylko o przyczynę, mianowicie czy objawy są poprostu mistyfikacyą, dokonywaną przez pewne osobliwe natury psychiczne, czy też tworem nowej, niezbadanej jeszcze siły—psychicznej. W pierwszym razie trzeba byłoby przyjąć, że są szczególne typy organizacyi duchowej, w stanie bezwiednym, a przynajmniej półbezwiednym posuwające się do systematycznej a zwartej mistyfikacyi swego otoczenia, przyczem objawy wszędzie są analogiczne: stukanie, rzucanie przedmiotów, niszczenie sprzętów, a w dalszym ciągu podpalanie. Medya takie żywiołowe odznaczają się niezmierną zręcznością, siłą i elastycznością. Ukazują się one w różnych miejscach, bez wiedzy o sobie i o podobnych zjawiskach. I jeżeli koło inteligencyi, wolnej od przesądów i systematycznie czatującej na mistyfikatora, rzadko może uchwycić go na gorącym uczynku oszustwa, cóż mają myśleć o tego rodzaju zdarzeniach prostaczkowie, wierzący w cuda różne? Sądzę jednak, że prócz mistyfikacyj w tych objawach jest jeszcze coś więcej, mianowicie „dynamiczne rzuty“ czynności mięśniowych na odległość. Przed kilku tygodniami wypadło mi robić w własnem mieszkaniu doświadczenia z Eusapią Paladino, która przejeżdżała przez Warszawę z Petersburga. Przy świetle, w warunkach przeze mnie ułożonych, widziałem podnoszenie się stołu średnich rozmiarów bez dotknięcia, przy zupełnej kontroli rąk i nóg, oraz otrzymałem stukanie na odległość. Lecz jednocześnie spostrzegłem fakt bardzo znamienny: każdemu poruszeniu na zewnątrz, stuknięciu itd. towarzyszyły odpowiednie ruchy medyum. Były to poprostu jakby dynamiczne rzuty czynności fizyologicznych. Ten objaw oraz kilka innych jeszcze faktów każą mi przyjąć autentyczność pewnych sił jeszcze niezbadanych, przytem działanie ich odznacza się stałą dążnością mistyfikacyi i tylko przy dostatecznej kontroli oddziela się od zwykłych procesów fizyologicznych. Ciemność jest jednym z warunków silniejszego działania. Naturalnie, ta skłonność ku oszustwu oraz niechęć względem światła nie budzą i nie mogą budzić zaufania, lecz cóż zrobić? *).

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

Poezye d'Annunzia.

Cóż to za rozkosz wziąć czasem do ręki książkę istotnego marzyciela poety!.. Jakże on odrazu wprowadza nas w krąg zaczarowany swej osobowości — każdy wielki twórca, nakształt ciała niebieskiego, otoczony jest odrębną atmosferą — i jakże daleko unosi nas ponad tą szarzyzną życia! Jednym z takich wybrańców losu jest Gabriel d'Annunzio. „Jeżeli to prawda— powiada pewien krytyk — iż pojawienie się geniuszu w rasie nie jest zwykłym przypadkiem, lecz nagrodą pokoleń, które pracowały, wyczekiwały, cierpiały, chcemy widzieć w tym młodzieńcu melodyjnym więcej, niż poetę — bo żywy symbol młodej Italii, wznoszącej się ku słońcu, zawsze bogatej w miłość i wiarę.“

Otóż ta dama Włoch współczesnych, człowiek, który więcej zrobił dla sławy swej ojczyzny, niż wszyscy jego rodacy razem wzięci, mierzony łokciem zwykłego filisterstwa, mógłby się wydawać jakimś ohydnym satyrem. Dla krytyki jednak, mającej na uwadze tylko prawdę

---

*) Dopóki mamy dwa udowodnione fakty: 1) że medya dopuszczają się oszustw i 2) że zwykli kuglarze wykonywają sztuki, które są tylko dziełem ich zręczności, a których tajemnicy najbystrzejsza kontrola odkryć nie może, dopóty powątpiewanie o nowych siłach medyów jest zupełnie usprawiedliwione. Nietylko poeci, ale i kuglarze rodzą się. *Red.*

naukową, nie ulega wątpliwości, iż w tem właśnie skupieniu nieświadomej energii ras wyższych zawiera się cała tajemnica poezyi i piękna.

Spojrzyjcie na rasowego konia, gdy on harcuje, skacze lub staje dęba: wszystkie jego ruchy nacechowane są wciąż harmonią. To piękno zewnętrzne jest wytworem doboru płciowego; ma ono określone cele i zadania w ogólnej ekonomii natury. To samo powiedzieć można o rasowcach ludzkich, na których zarazem stwierdzić możemy takież samo pochodzenie piękna wewnętrznego. Gdy twórca w jakiejkolwiek dziedzinie pięknie myśli, pisze lub maluje, to dlatego, że cała jego istota, nie chcąc, za wolą natury skierowana jest ku podbojom na polu miłosnem. Jego energia życiowa nieświadomie przysposabia się do tego celu, przybierając jednę ze swych odmian: formę piękna. Ono przejawiać się będzie w odzieży, ruchach, myślach, gdyż m na celu podobanie się kobietom i podbicie ich w jak największej ilości. Jeżeli jednocześnie twórca pisze, maluje lub buduje system filozoficzny, to tylko, że tak powiem, wszystko to czynić będzie w sposób piękny, i to mu przychodzi zupełnie naturalnie, nieświadomie, bez wysiłków, gdyż cała jego istota wówczas zdobi się w piękno, a także w przebiegłość i rozum, bo i te są środkiem potężnym podboju. Jeżeli więc kto tworzy piękne dzieła w jakiejśkolwiek dziedzinie, to bądźcie pewni, iż nieświadomie chce się podobać. Bo jeżeli ta chęć ginie z wiekiem lub w okolicznościach niedogodnych, to i elegancya duchowa zanika, jako rzecz zbyteczna, i wówczas odradzać ją należy już tylko świadomym wysiłkiem, jak to zwykle czynią przedstawiciele ras niższych, o których rozmnażanie natura nie dba. W zestarzałych geniuszach piękno ginące może się zamienić wyłącznie na swój atrybut, na przebiegłość i rozum: mogą one wówczas stać się wielkimi filozofami lub uczonymi; ale i te zjawiska mieć będą toż samo pochodzenie biologiczne. Goethe i Chateaubriand sześćdziesięcioletnimi starcami, nie chcąc, podbijali serca osiemnastoletnich dziewcząt. Tacy przestarzali geniusze w czasach pierwotnych byliby otoczeni stadem młodych i pięknych kobiet. Obecnie stało się to niemożliwem, i dlatego cała przebiegłość, której wówczas użyliby dla zachowania swych zdobyczy, w naszych czasach wciela się w jakiś system filozoficzny lub odkrycia naukowe. Czyż należy dodawać, iż wszystko to odbywa się w sposób czysto automatyczny i że tak oddaleni już jesteśmy od istotnych źródeł naszych czynów, iż ani filozof, ani uczony, ani nawet poeta już sobie sprawy nie zdają z istotnego stanu rzeczy? Bądź co bądź, pociąg płciowy i dobór płciowy w zupełności, zdaniem naszem, wystarczają do wytłomaczenia piękna we wszystkich jego przejawach, a w znacznej części i myśli, która zresztą może mieć inne jeszcze pochodzenie. Dlatego właśnie krytyka naukowa powinna w erotyce d'Annunzia, jak i wszystkich zresztą poetów, upatrywać, nie jakieś zboczenie młodzieńcze, lecz istotę samą ich twórczości. W tem świetle rozpatrywane poezye d'Annunzia są nader pouczające. Jest to wspaniały hymn młodego samca, który w objęciach swych chciałby zwęglić wszystkie kobiety. Oto przykład: „Pełne południe ciąży na basenem samotnym, zielonym, pokrytym falami i roślinnością: a ja, podobny do Fauna starożytnego, ukrywam się, zaczajony, tu śród gałęzi świętych więzów. Kiedyż zobaczę wreszcie nimfę, o stopie bojaźliwej, ukrywającej elastyczne swe ciało we włosach... O, piękna Dryado, jasnowłosa Cynthio, nocna kochanko — wyskocz z kory, wyzwól obnażone swe członki, gdyż jestem zręczny i potężną jest moja młodość..." Pierwsze utwory poety: „Canto noso" i „Intermezzo di Rime," wywołały oskarżenie o szał afrodyzyastyczny.

Gdy zaś następnie w „Elegiach rzymskich" stara się kochać, nie zmysłami, lecz sercem, czułością, wyznaje, iż jest to dla niego rzeczą niemożliwą. Dla tej natury zdobywczy rozkosze ideału mogą być dostępne, ale tylko chwilami. I jakąż on wówczas olbrzymią posiada moc wywoływania i skupiania marzeń, zwłaszcza gdy struna miłosna drga w nim żalem za temi stadami pięknych i czystych dziewic, które samotni jego przodkowie niegdyś zagarniali na wyłączną swą własność, gdy on, oddalony ich potomek, skazany jest na brudy cudzołóstwa. Stąd pochodzi jego mieczyste marzenie, które unieśmiertelnił w cudnym wierszu, zatytułowanym „Pamphila."

„Ponieważ żadna miłość ludzka nie zadawala dumy artysty, który nie znosi cienia cudzego na swej zdobyczy; ponieważ kobieta jest nieczysta (impura) a rana jej wieczna; ponieważ żadne niebo nie ofiaruje mi tej, która nigdy nie była widzianą:

Dziś władza ukryta mych snów wywołuje, ku memu wstrętowi i obrzydzeniu, tę, która była posiadaną przez wszystkich, na łożu, w zaułku, dokąd pożądliwość ohydna sprowadzała ludzi od wiosła, pijanych żołnierzy, motłoch bezimienny.

Przez wszystkich posiadaną, od żebraka do wielkiego pana, pokrytą pieszczotami bez liku, osłoniętą jeszcze tajemnicą starożytności, ostatnią wnuczkę Heleny, której piękno olśniewało Troję w promieniach i blasku słońca.

Tę kochać będę! W jej członkach nieczystych, gdzie skupioną jest cała żądza ziemi, poznam całą miłość i świat! W jej oczach przesuwać się będą dla mnie tłumy cieniów niejasnych, a w łonie bezpłodnem słuchać będę uderzeń jej głębokiego serca.

Całować będę jej ręce, jej biegłe, wyuczone ręce, które pieściły wełnisty podbródek majtków, powróconych z oceanów nieznanych, — ręce, które przesuwały się gestem powolnym pośród włosów zamyślonego młodzieńca, podczas gdy dusza jego błądziła w milczących przestworzach księżycowych.

...Z ust jej bezwstydnych, niemych wydobędę słowo skąpe, bardziej rozwiązłe, niż pocałunek, dowiem się imion najsłodszych i najgorętszych, które tysiącom swych kochanków dawała w szepcie lub krzyku; w tchnieniu jej pić będę aromaty lasów oddalonych.

W oczach jej widzieć będę tłumy rzeczy niejasnych, a w łonie bezpłodnem słyszeć uderzenia głębokiego serca. I kochać ją będę! W jej członkach skupię całą żądzę ziemi, poznam całą miłość wszechświata!"

Nie oszukujmy się wszakże. W tem świętokradztwie poety jest prawdziwa religia czystości. Że ten *poeta-porco*, tarzający się we wszystkich alkowianych lub zaułkowych rozkoszach, marzy o dziewicach przez niego nieposiadanych, a nawet niewidzianych, to fakt. Stąd jego rozdarcie wewnętrzne. Tamte rozkosze są tylko skutkiem tego, iż ideały czystości urzeczywistnione być nie mogą, gdyż one do jednego tylko ideału sprowadzić się nie dadzą.

Tymczasem inne typy ludzkie bardzo dobrze się godzą z *promiscuiti* cudzołóstwa lub zaułków, są spokojne i zadowolone. Sądzę, iż różnica ta ma głębokie uzasadnienie w instynktach ludzkości pierwotnej, gdzie należy szukać klucza dla zrozumienia wszystkich zagadek psychologicznych, które w życiu współczesnem napotykamy. Ludzkość pierwotna żyła hordami o pożyciu płciowem zmieszanem, nieuporządkowanem: etnografia nie pozostawia pod tym względem prawie żadnej wątpliwości, zresztą psychologia płciowa stad współczesnych w zupełności to przypuszczenie potwierdza. Ale obok hord istniały pierwotnie samotne i zazdrosne samce, otoczone tłumem samic pięknych i oddanych. Instynkty tych samców także pozostały niezmienione, i one to odżywają w poetach ludzkości historycznej. Społeczeństwa tego polyteizmu znieść nie chcą i nie mogą; stąd zatarg, który jest głównem źródłem poezyi.

Typy społeczne mogą więc żyć albo w bezładzie płciowym, albo w monogamii, gdyż obie formy zapewniają maximum użyteczności społecznej. Natomiast typy samotne na dzielenie się nie zgadzają. Przejawia się w tem tylko naturalna różnica natężenia egoizmów, która w życiu współczesnem występuje w taki sposób, że typy społeczne w razie niewierności miłosnej z łatwością się pocieszają z kim innym, typy zaś samotne często w takich razach giną lub rzucają się w rozpustę. Przykład Lassalle'a lub Musseta nadzwyczaj jest pod tym względem charakterystyczny. Nam takie wypadki wydają się zazwyczaj śmiesznymi, gdyż podejrzewamy pod temi tragedyami zadraśnięcie nie miłości, lecz miłości własnej. Ale to rzeczy nie zmienia, gdyż wyższość typu przejawia się zwykle wyższą produkcyjnością, a zatem i wyższym egoizmem. Ten szał samców w rodzaju Lassalle'a, zadraśniętych niewiernością w ich miłości własnej, jest tylko dowodem wyższego napięcia energii biologicznej, przeznaczonej pierwotnie przez naturę do zapładniania i poprawiania rasy. Ale przez to właśnie czynią oni wciąż ujmę możebnemu użyciu innych członków stada, którzy muszą się bronić. Stąd walka, która jest głównem źródłem poezyi i sztuki. Samiec genialny, zamiast bezpośrednio porywać lub wabić samice, jak to się działo w czasach pierwotnych, wabić je będzie pięknemi pozami, śpiewem, muzyką itd. Z czasem ta idealizacya może się odczepić od swego istotnego źródła, którego już nie spostrzegamy, którego istnienia zaprzeczamy, ale które nie przestaje istnieć. Jest to zwykła przemiana energii, odbywająca się w geniuszu pod ciśnieniem stada. Takie wydają nam się najgłębsze źródła sztuki.

Im większą jest energia biologiczna samca, tem większym stanie się on poetą, myślicielem lub artystą; ale natura nie to miała na celu: ona chciała pierwotnie zrobić zeń reproduktora, i w tym celu dała mu samolubne instynkty poligamisty, który nie znosi podziału. Dodajmy, iż w obecnych społeczeństwach typy genialne, aby się uwolnić od niepomiernej walki z tłumem, mogą wybierać jako nieświadome *pis aller* właśnie czystą monogamię, ale to oczywiście teoryi naszej—która ma na celu dotrzeć do źródeł procesu twórczego, analizując ostatnie zamaskowane jego przejawy — nie zbija.

Walka o miłość między geniuszem a tłumem stanowi główne źródło sztuki i o tyle, oczywiście, jest pożądaną, ale można powątpiewać, czy wpływ jej jest dobry dla ludzkości pod względem antropologicznym. Teraz jesteśmy jeszcze tak opłątani pajęczyną przesądów i wszystkie nasze poglądy tak są nienaturalne, wykrzywione, iż funkcya rodzicielska geniuszu, najwyższa z jego funkcyj, tylko śmiech lub oburzenie w nas wzbudza. Jeden z biografów Gounoda w taki sposób ironicznie się odzywa: „Bóg wie, ile on był uwielbiany z bliska i z daleka, ile fermentów miłosnych on poruszył w sercu wrażliwem kobiet, jak umiał grać na tych drgających instrumentach swą muzyką gorącą, przebiegłą, pełną tęsknoty, pożądań niewyrażnych, czułości zmysłowej, swą głową mnicha ormiańskiego, oczyma jakby pogrążonemi w otchłaniach marzeń, czołem ze słoniowej kości, zoranem zmarszczkami, gdzie jakby drzemała wieczna troska tworzenia.

Jeżeli Gounod wzbudzał takie fermenty w sercu kobiet, to czemu społeczeństwo stawało przeszkodą ku ich urzeczywistnieniu? Kto wie, czy temi przeszkodami w wykonaniu jego misyi bezpośredniej, społeczeństwo nie zapędziło go w końcu w mistycyzm, który, jak wiadomo, jest jedną z najczęstszych przemian miłości. D'Annunzio uległ temuż samemu losowi: jego erotyzm zamienia się w „Poema paradisiaco" na manię religijną, która tuż obok przechodzi w wybryki sadyzmu. Oto np. wyobraża sobie, iż ta, której napróżno pożąda i którą kocha, przyjdzie do niego w nocy: „Wstąpi do wysokiej komnaty i podejdzie do mego łoża, które jest jak grób — i czekać będzie w milczeniu swego losu. Czyż nie jesteś, o boska, urną Milczenia? Usta twe są zimną różą nocną. Nie wydobędę z nich nigdy słowa, krzyku, szeptu. Ale tej nocy dasz mi przynajmniej twe tchnienie. Moje łoże jest grobem, o milcząca! Wszystko jest głębokiem w królestwie głębokiem snu.. O, roztwórz się nareszcie, o ty, która jesteś urną Milczenia!"

Tu już znajdujemy się na progu sadyzmu, gdzie miłość zaczyna się lubować w akcesoryach śmierci i on wreszcie całkowicie występuje w snach charakteru krwawego.

„.. Ona się wznosi zraniona i przyciąga. Pogrążona w śnie nieruchomym ona żyje tu, okrutna kobieta o rękach obciętych, a przed nią czerwienią się dwie strugi krwi, w których żywe jej ręce są pogrążone."

I wszystko to ma miejsce w tym samym „Poema paradisiaco," które rozpoczyna się modlitwami religijnemi o tak czystych polotach! Artysta oddawał tu swe wrażenia w naturalnym ich rozwoju; psycholog jednak znajduje w nich tylko odmiany uczucia miłosnego, które wystąpić muszą przy pewnych warunkach.

Szczęściem, poeta wyrwał się z tej otchłani i teraz energia jego przechodzi przez nową transformacyę, zamienia się na myśl i czyn. Dusza jego, drżąc, wznosi się ku nowej jutrzence. „Łódź jest gotowa! Żegnajcie, lasy mirtowe! Do żagla! do żagla! Wiatry śpiewają, jak duchy radosne, w łonie mego żagla! Śpiewajcie, o wiatry! Zdala od bagnisk zatrutych pchajcie mą łódź! Niechaj moja sromota pozostanie zdala po za mną, z umarłemi rozkoszami, z kwieciem i owocem kłamstwa na spróchniałem drzewie: serce me marzy o życiu szerokiem i o bardziej dumnym zgonie! Śpiewajcie, o wiatry! W morzu nieznanem spoczywa wyspa zaklęta; tam, jak na szczycie olbrzymiego ołtarza, jest rozkosz obiecana; tam pozostawię ślad mej stopy. Ku mnie, o sławo!"

D'Annunzio wstąpił do parlamentu włoskiego jako kandydat „Piękna," mając na celu jego odrodzenie, nietylko w literaturze, ale i w życiu realnem.

Dr. L. Winiarski.

NOWOCZESNY SAWONAROLA.

(Luźne uwagi).

III.

Ażeby zburzyć istniejące pojęcia estetyczne i oczyściwszy miejsce z gruzów, postawić własne pojęcie o sztuce, zmierzające do celów moralisty, Tołstoj jął się nader dowcipnej metody. Skorzystał on z istniejącego w nauce estetyki zamętu, z tej olbrzymiej różnorodności poglądów teoretycznych, które w dziełach różnych myślicieli to zacieśniały pojęcie sztuki do uznania jedynie jakiejś jednej szkoły w malarstwie, poezyi lub muzyce, po potępieniu wszelkich innych, to rozszerzały je nieograniczenie przyznaniem miana sztuki wszystkiemu, co pieści nasze zmysły, skutkiem czego obok sztuki dla słuchu — muzyki, stawała sztuka dla smaku — piękne wyroby cukiernicze, sztuka dla węchu — przyjemne perfumy itp. Tołstoj powołuje Renana, który o sztuce krawieckiej wyrzekł: „C'est le grand art" i Kralika, który wykładał teoryę „aesthetischer Behandlung der fünf Sinne." Na dowód marności studyów estetycznych i niskiego poziomu nauki o pięknie przytacza on wyborną i skądinąd wcale trafną charakterystykę autora „Krytycznej historyi estetyki" Schasslera, który ubolewa nad tem, że w tej dziedzinie filozofii istnieją najgrubsze i najsprzeczniejsze metody badania, że w studyach estetyków niemieckich napotyka się albo obfitość frazesów, pokrywających bezdenną próżnię myśli, albo niezgrabną i ciężką terminologię, zaciemniającą niepotrzebnie najprostsze idee, głębokie wnioski i bogatą treść. Tołstoj mniema, że z tej próżni lub mglistości wydobyć się niepodobna, wskazując, że Schassler, tak trafnie krytykujący innych, w swoich wywodach estetycznych wpadł w te same błędy. „Góry ksiąg napisano o sztuce — powiada Tołstoj—a dotychczas nie określono jej dokładnie." Przyczyna tego — zdaniem pisarza rosyjskiego — tkwi w tem, że dla określenia sztuki wzięto fałszywą zasadę — pojęcie o pięknie. Pojęcie to bowiem jest tak chwiejne, tak dowolne, tak nieokreślone, że żadną miarą nie może stanowić podstawy jakiejkolwiek nauki.

Na dowód tego autor przytacza kilkadziesiąt poglądów na piękno, wypowiedzianych od chwili narodzenia się estetyki, od czasu twórcy jej, Baumgartena (1714—1762), aż do najnowszych czasów.

Porównywając poglądy różnych filozofów, widzimy jak gdyby bój śmiertelny. Idee estetyków miażdżą się nawzajem. Cechy, skwapliwie włączane w pojęcie piękna przez jednych, wyrzucane są nielitościwie przez innych. Natrafiamy tu wprost na dziwolągi ideowe, na nonsensy oczywiste, na frazesy bez treści, na zapatrywania sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, na mistycznie mgliste formuły, na niedołężne abstrakcye, na pompatycznie niezrozumiałe terminy.

Ostatecznie czytelnik wpada w jakiś chaos Cała ta filozofia piękna wydaje mu się brednią, jakiemś olbrzymiem nieporozumieniem, niezręcznem dziwaczeniem wielkich i pseudo-wielkich umysłów. Pojęcie piękna przedstawia się jako coś nieuchwytnego, jako coś, co nie daje się określić, a posuwając się o krok dalej, jako nic. Podminowany przez Tołstoja przez zestawienie mnóstwa sprzeczności gmach estetyki rozpada się. Idea piękna ulatnia się. Tworzy się próżne miejsce, na którem Tołstoj może już swobodnie stawiać swoją budowę. Zanim ją obejrzymy, zastanówmy się nad jego metodą dowodową, której próbkę przedstawiliśmy powyżej.

Przedewszystkiem słówko o erudycyi Tołstoja. Podziwiamy ją dopóty, póki nie spostrzeżemy, że wszystkie jego cytaty, jak to widać z poczynionych odnośników, wzięte są z trzech zaledwie dzieł, traktujących o estetyce, z Schasslera, Knighta i Kralika. Heine nazwał gdzieś cytowanie wyszczypywaniem rodzynków z bab. Jeżeli zaś ze smaku rodzynków nie można sądzić o smaku ciasta, to dlaczego Tołstoj i sam sądzi i zmusza czytelnika do sądzenia o słuszności poglądów filozoficznych na zasadzie oderwanych zdań autorów, którzy tomowemi dziełami uzasadniali swoje poglądy; nie znając motywów i nie podając ich, można ośmieszyć wszelakie wnioski.

Powtóre, czy sprzeczność w poglądach różnych myślicieli wogóle może dowodzić czegokolwiek? Weźmy jakikolwiek przedmiot i zwalmy na jedną kupę wszystko, co o nim powiedziano, wszystkie brednie i wszystkie głębokie uwagi: czy sprzeczność poglądów słusznych z niesłusznymi dowodzi nicości samego przedmiotu?

Zresztą jeżeli filozofowie nie zgadzali się w poglądach, to czyż ten i ów, spoglądając pod innym kątem widzenia, nie odkrywał tylko innej cząstki prawdy? Nie to nie znaczy, że mylili się, skoro odsłaniali chociażby w drobnej mierze tajemnicę w różnych miejscach i dopełniali się przez to nawzajem.

Wreszcie czy nieokreśloność pewnego pojęcia nakazuje je odrzucić i szukać zasady gdzieindziej, choćby tam, gdzie ona być nie może, tylko dlatego, że można tam natrafić na pojęcie łatwiejsze do określenia? Mniemamy np., że pojęcie o życiu jest jasnem dla każdego z nas. A przecież uczeni dali szereg najróżnorodniejszych określeń życia, niekiedy dziwnych i sprzecznych nawzajem. Pojęcie o duszy dotąd wywołuje tysiączne spory, a przecie niepodobna go wyrzucić z psychologii.

Kwestya piękna jest naszem zdaniem metafizyczną. Stąd właśnie pochodzą głębokie trudności w rozwiązaniu jej, stąd tysiączne spory. A przecie wiemy, że w człowieku istnieje coś, co się nazywa upodobaniem, poczuciem piękna Jest to jedna z zasadniczych jego potrzeb. Poczucie to tkwi nawet w zwierzętach; dość przypomnieć zasłuchanie się samiczki w śpiewie słowika, albo wybór podczas tokowania najbogaciej ubarwionych samców przez kapryśne samice. Pojęcie o pięknie zmienia się, rozwija, uszlachetnia, ale potrzeba jego przejawia się już na najniższych szczeblach rozwoju. Socyologowie dowodzą, że w klimatach cieplejszych odzież zawdzięcza swoje pochodzenie bynajmniej nie potrzebie, albo wstydliwości, ale rodzi się z pierwotnych ozdób i upiększeń ciała.

Tołstoj, odrzuciwszy pojęcie piękna, chce swą estetykę oprzeć na dobru. Czyż nie wie o tem, że uznane przez niego prawda i dobro są również trudne do określenia?

„Bezwzględne dobro" — to rzecz dla niego jasna. Jest to mistycyzm moralisty, który nie ma nic wspólnego z trzeźwością myśli. A o tę trzeźwość tak szło przecie Tołstojowi, gdy smagał estetyków za ich pojęcie o pięknie.

Z właściwą sobie zdolnością uogólniania sprowadza on wszystkie określenia estetyczne do dwóch grup zasadniczych: istnieje pogląd na piękno objektywno-mistyczny, według którego jest ono czemś istniejącem po za nami, jest jednym z przejawów absolutnej doskonałości (ducha, idei woli lub Boga) i pogląd subjektywno-empiryczny, upatrujący zasadę piękna w pewnej szczególnej przyjemności, niemającej na celu widoków osobistej korzyści (interesu, dogodności, pożytku).

Pierwszy z tych poglądów narodził się w głowach filozofów-metafizyków, wyznawany jest przez mniej więcej połowę wykształconych ludzi współczesnych i cieszy się uznaniem osobliwie u ludzi starszego pokolenia. Drugi, który zawdzięcza pochodzenie swoje nauce późniejszej i rozwinięty został przeważnie w dziełach pozytywistów angielskich, wyznawany jest przez drugą połowę ludzi wykształconych, osobliwie zaś przez młode pokolenie, skłonne brać rzeczy ze stanowiska bardziej ziemskiego, z punktu widzenia psycho-fizyologii.

Otóż, zdaniem Tołstoja, prawdziwego objektywnego pojęcia o pięknie niema i być nie może. Istniejące określenia, metafizyczne i empiryczne, dają się w gruncie rzeczy sprowadzić do subjektywnego, które żadnej naukowej wartości nie posiada. Boć według empiryków pięknem

jest to, co się podoba, a według metafizyków absolutną doskonałość, przejaw idei, ducha itp., noszący nazwę piękna, odkrywa się właśnie przez to, że się coś podoba. Metafizyk podnosi więc tylko na wyżyny absolutu to upodobanie, które pozytywista śledzi w fizyologicznych prawach naszej natury. Ostatecznie wypada, że sztuką jest to, w czem objawia się piękno, a pięknem jest to, co się podoba.

Przerażająca kapryśność i zmienność upodobań w różnych epokach, u różnych ludzi, zmusiła pozytywniejszych estetyków do przeniesienia punktu ciężkości zagadki z kwestyi piękna do kwestyi smaku. Ale próby określenia, czem jest właściwy dobry smak, mający być miarą wartości przy ocenie dzieł sztuki, nie dały dotąd żadnego rezultatu i dać go nie mogą, gdyż smak jest właściwością, mającą miliardy indywidualnych odcieni.

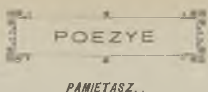
Wpadłszy w zaczarowane koło, nie będąc w stanie stworzyć prawdziwej nauki o pięknie — zdaniem Tołstoja — przewrócili jakoby kwestyę do góry nogami. To, co się ongi, w pewnej epoce, pewnym kołom społecznym, ludziom z warstwy wykształconej podobało, ogłoszono jako miarę tego, co się podobać powinno wszystkim i zawsze. Zamiast praw estetycznych, ustanowiono pewien kanon artystyczny. Weszły weń pewne ulubione dzieła, albo raczej ich twórcy (Fidyasz, Sofokles, Homer, Rafael, Shakespeare itp.) i nakręcać poczęto estetyczne formułki w ten sposób, aby one objęły ukochanych mistrzów. Na ten kanon kazano przysiądz całym pokoleniom artystów, czyniąc go obowiązującym do naśladownictwa. Zaćmiono tym sposobem sąd ogółu, nakazując wierzyć, że wszystko, co się spotyka u uznanych mistrzów, jest wyrazem piękna, a więc najniedołężniejsze nawet ich utwory, najdziwaczniejsze wybryki niedopisującego chwilowo natchnienia, niewątpliwe błędy. A co gorsza, skrępowano artystów, sparaliżowano ich pomysły, nie dając wybić się żadnemu oryginalnemu talentowi! To też całe szkoły artystów kolejno walczyć musiały z tą szczególną estetyką, opartą na tradycyi, dopóki nie dobiły się przyjścia do kanonu sztuki, jak to np. było z romantykami. W ten sposób robi się estetyka.

Tak stawia kwestyę Tołstoj. Nie możemy nie przyznać, że w tem, co powiedział, jest wiele trafnej spostrzegawczości, a niewątpliwie jest ogromna moc. Jest to najlepsze miejsce w jego książce. Dokonał on tu Samsonowego wstrząśnienia kolumnami estetyki.

Zobaczymy, czy i w tym wypadku wstrząśnienia nie dokonał ślepy. Bodaj, że pod gruzami gmachu odnajdujemy zaraz samego Tołstoja. A na gruzach zobaczymy w dalszym ciągu jednych, zajętych mrowczą pracą wznoszenia nowej budowy metodą badania objawów zamiłowania piękna, śledzenia tego, co się podobało, w jakiej epoce, przy jakich warunkach, i wyprowadzając tą drogą mozolną poważne wnioski; i drugich, którzy świetnym wzlotem myśli, w niecierpliwem pragnieniu odsłonięcia tajemnic ducha, dźwigają pałace nowych misternych hipotez. I ci i tamci spełniają swoją pracę sumiennie, odpowiednio do natury swoich umysłów i zgodnie z podwójną naturą umysłowości ludzkiej, wznoszenia się od szczegółów do ogółu i zbiegania od ogółu do szczegółów — a wdzięczna ludzkość, zaciekawiona wieczystem zagadnieniem estetyki, słucha i tych i tamtych.

(C. d. n.).

L. Belmont.



PAMIĘTASZ..

Pamiętasz... Za dziecięcych lat raz nam mówiono,
Że za dziesiątą górą, za trzydziestą rzeką,
Gdzieś za borem zaklętym, daleko, daleko,
Jest kraj, gdzie wiecznym blaskiem gwiazdy [szczęścia płoną.

Kraj, radością owiany dziwną, nieskończoną,
W którym miodem i mlekiem wartkie strugi cieką,
Gdzie śmiertelnych nie straszy czarne trumny [wieko,
Bo z winnic sokiem życia tryska złote grono...

Przez morze łez, przez życia noc długą, noc czarną,
Dążyłem doń, jak pielgrzym do świątyń swych [proga.
Za pokarm miałem gorzkich rozczarowań ziarno,

Za napój—ocet z żółcią... Ciężka była droga...
Poszarpany przez ciernie, konający prawie,
Doszedłem doń nareszcie — w krótkim śnie na [jawie.

Władysław Bukowiński.



ULGI CELNE.

Wobec dzisiejszej rozwój i siła rolnictwa w znacznej mierze zależą od kultury wysokiej, ta zaś wymaga możliwie największych i ciągłych udoskonaleń i zarazem zmniejszenia kosztów produkcyi. Na tem w krajach rozwiniętych społecznie i ekonomicznie opiera się dziś istnienie owej dziedziny produkcyi. Kraj nasz pod względem warunków ekonomicznych coraz bardziej się zbliża do zachodu Europy; praca wymaga coraz większego natężenia i udoskonalenia jej środków pomocniczych. To samo daje się spostrzegać na wielu obszarach Cesarstwa, objętych wyższą kulturą. Zniżenie atoli kosztów produkcyi i ułatwienie zdobycia pomocniczych środków technicznych w znacznej mierze zależne jest od zarządzeń państwowych. Taryfy, spółki, stowarzyszenia, cła — to są właśnie te środki natury ogólnej, związane z różnorodnymi warunkami bytu ekonomicznego. Stały się one przedmiotem narad i roztrząsań zarówno w sferach ministeryalnych, jak i na wszelkich zjazdach, mających na celu rolnictwo i jemu pokrewne działy produkcyi i handlu. To też reforma taryfowa przed paru laty była doniosłym faktem w życiu ekonomicznem ludności wielomilionowej, godzenie zaś interesów tej ludności, zamieszkałej na rozległych obszarach, różnych pod względem warunków bytu — było i jest zadaniem niesłychanie trudnem. Co bowiem dla jednych jest pożytecznem, dla innych może być szkodliwem. Dlatego też nie pamiętamy równie namiętnej walki, jak ta, która wrzała w broszurach i na różnych zjazdach w chwili wprowadzenia zasad teoretycznych do zawiłej praktyki życiowej.

Niezgodność interesów jeszcze jaskrawiej wystąpiła podczas reformy celnej. Tu już do walki wystąpiły nie jednolite grupy ekonomiczne (np. rolnictwo z rolnictwem), lecz różnorodne (przemysł żelazny z rolnictwem itd.). Gdy postanowiono popierać i stwarzać różne krajowe gałęzie przemysłu fabrycznego, musiano nałożyć cło dość znaczne na wyroby zagraniczne. Wkrótce jednak okazało się, że cierpi na tem ogromnie rolnictwo. Tu i owdzie dano działy produkcyi fabrycznej rozwinęły się jako tako, inne zaczęły dopiero zapowiadać swój rozwój w dalszej przyszłości, jeszcze inne wcale nie zaspokoiły potrzeb krajowych, co oczywiście odbiło się najdotkliwiej na przemyśle rolnym.

Tymczasem wygrywał na tem sam przez się potężny przemysł metalurgiczny i uprawiał nawet wyzysk. Tak np. w miarę wzrostu ceł od metalów dowozowych, fabryki maszyn i narzędzi rolniczych podnosiły ceny swych wyrobów, bynajmniej nie dorównywających zagranicznym ani pod względem dobroci i trwałości, ani też ulepszeń technicznych. Rolnicy, znalazłszy się w tak nieprzyjaznych dla siebie warunkach, przedsięwzięli zabiegi o wprowadzenie pewnych ulg w tej mierze i oto po kilkoletnich staraniach doczekali się nareszcie pomyślnych wyników. Ministerya: skarbu oraz dóbr państwa i rolnictwa stworzyły komisye, w których wzięli udział rolnicy, fabrykanci maszyn, nawozów sztucznych, a nadto wielu innych rzeczoznawców. Po dwuletnich badaniach tej kwestyi i sporach, nareszcie zapadła ostateczna uchwała (zatwierdzona przed kilku tygodniami), która przyznała ulgi dla maszyn, narzędzi rolniczych, nawozów sztucznych i preparatów chemicznych.

Przedewszystkiem postanowiono uwolnić od cła takie maszyny i narzędzia rolnicze, które albo wcale nie są wyrabiane w państwie, albo też są wytwarzane w ilości niewielkiej. Do tej kategoryi zaliczono: żniwiarki-snopowiązałki, żniwiarki z przyrządami do zrzucania, pługi parowe, złożone młocarnie do koniczyny ze specyalnymi bębnami, potrząsacze siana, grabie konne, sortowniki ze spiralnymi cylindrami drucianymi, sortowniki do kartofli, maszyny do zasypywania nawozów sproszkowanych, pulweryzatory i injektory do drzew i winogradu, gniotowniki z przyrządami oddzielającymi łupiny, centryfugi do śmietany. Wszystkie przedmioty powyższe były obłożone dotychczas cłem w stosunku 50 kop. złotem od puda. Od zapasowych zaś części maszyn opłata celna była znacznie wyższa (części surowcowe, żelazne i stalowe po rs. 1 kop. 40, miedziane po 4 rs. 32 kop. złotem.) Obecnie cło od części zrównano z opłatą od całych maszyn. Prócz tego uwolniono od cła wszystkie nowo wynalezione lub udoskonalone maszyny rolnicze, sprowadzane dla stacyj doświadczalnych i muzeów. Zniżono znacznie cło od lokomobil, przywożonych z młocarniami złożonemi i pługami parowymi. (Lokomobile takie w obrębie Rosyi prawie wcale nie są wyrabiane). Jak widoczne są w tym szczególe ulgi, wykazuje przykład następujący: Sama lokomobila do młocarni i pługów kosztuje za granicą 2,500 rs., cło zaś od niej wynosi 680—750 rs.; obecnie — 260.

Drugą kategoryę przedmiotów, korzystających z ulg taryfowych, stanowią nawozy sztuczne z tych materyałów, których niema wcale w państwie rosyjskiem (chlorek wapna, siarczan potasu, dwusiarek węgla, sole stassfurckie, saletra chilijska). Wreszcie uwzględniono różne preparaty, mające na celu leczenie roślin, zapobieganie ich chorobom i walkę z owadami szkodliwymi.

Wszystkie nowe przepisy o ulgach celnych dla rolnictwa obowiązywać mają bez zmiany do końca r. 1903, tj. do terminu, w którym się kończy traktat handlowy z Niemcami. Jest to furtka polityki ekonomicznej, zostawiona na wszelki wypadek. Bądź co bądź ulgi te, chociaż tylko na pięć lat przyznane, mają doniosłe znaczenie dla rolnictwa.

PRASA ROSYJSKA.

Mosk. Wiedomosti tak oświetlają mowę J. O. ks. Imeretyńskiego przy otwarciu posiedzeń rady:

„Teraz jasnem jest, że dla jakichkolwiek marzeń polskich niema miejsca i że idea państwowa zlania kresów polskich z innemi częściami Rosyi będzie się przeprowadzała niezmiennie i konsekwentnie.

Obecna władza w kraju radykalnie różni się co do kierunku z poglądami tej administracyi, która niegdyś nie decydowała się na przeprowadzenie na kresach polskich rosyjskiej idei państwowej i narodowej i goniła za tanią, lecz niebezpieczną popularnością pośród Polaków, drogą przeróżnych ustępstw i tolerancyi.

Nic o jakiemś *zjednoczeniu* Królestwa Polskiego z Rosyą mówi generał gubernator, lecz oświadcza wprost o trwałem, organicznem *zlaniu* kraju Przywiślańskiego z pozostałemi częściami Cesarstwa. Z gorzkiego doświadczenia wiemy, jakim sofistycznym tłomaczeniom poddawany jest wyraz: zjednoczenie. Finlandczycy chcą w niem widzieć aż unię osobistą, a polscy narodowcy starej i dawnej formacyi oparli na tym wyrazie całą swą ekwilibrystykę. Miejmy nadzieję, że obecnie odebraną im została możność bałamucenia dalszego publiczności, jakoby rząd rosyjski myślał tylko o zjednoczeniu, nie zaś o zupełnem organicznem zlaniu kraju Przywiślańskiego z pozostałemi częściemi Rosyi — zlaniu, wyłączającem najzupełniej pojęcia o jakiejś tam autonomii polskiej.

Członkowie rady powołani są nie do służenia jakiejś polskiej idei separatystycznej, jakimś ideom stronniczym, lecz do pracy w imię zupełnego tryumfu w kraju rosyjskich państwowych i narodowych zasad, dążąc do organicznego zlania kraju z pozostałemi częściami Cesarstwa. Tylko opinie, wypowiedziane w tym duchu, mogą być prawidłowe i pod tym właśnie względem generał-gubernator wskazywał możliwość ciężkiej odpowiedzialności moralnej osób, wypowiadających opinie w radzie.

Wiemy, że zasady polityki w kraju, o których mówił generał-gubernator, polegają na tem, żeby stale i niezmiennie przeprowadzać w życiu odwieczne tradycye rosyjskie, zarówno państwowe, jak i cerkiewne i bronić je od wszelkich napaści inoplemieńców lub inowierców.

Oto zadanie istotne rady. Ono zgoła nie odpowiada widokom, jakie co do tej instytucyi mieli politycy polscy i ich współwyznawcy rosyjscy.

Przemówienie J. O. ks. Imeretyńskiego przez to właśnie jest znamienne, że w oczach społeczeństwa rosyjskiego i polskiego winno być gwarancyą, iż polityka warszawskiego general-gubernatora nie będzie polityką osobistą, lecz polityką następstwa w przeprowadzeniu zasad, zgodnych z wolą Cesarza Aleksandra III i szczęśliwie panującego Jego Następcy."

W DALI.

Łódź. *Torg. Promyszl.* [illegible] podaje ważniejsze szczegóły z zatwierdzonej już ustawy szkoły handlowej, którą zakłada w Łodzi kupiectwo miejscowe. Ma ona posiadać 7 klas i jedną wstępną. Opłata szkolna wynosi rocznie 100 rs. (uczniowie klasy wstępnej płacą 60 rs.). Obok przedmiotów ogólnych, program obejmuje następujące specjalne: arytmetykę handlową, buchhalteryę, korespondencyę handlową w językach rosyjskim i zagranicznych, ekonomię polityczną i prawo finansowe, historyę handlu, prawodawstwo, głównie handlowe i przemysłowe, chemię i towaroznawstwo z technologią (oraz zajęcia praktyczne w laboratoryum w dziale chemii i towaroznawstwa), geografię handlową (głównie Rosyi) i kaligrafię. To będą przedmioty obowiązkowe. Do nieobowiązkowych zaliczono język polski i angielski, korespondencyę handlową w języku polskim i stenografię. Za naukę ostatnich przedmiotów, z wyjątkiem języka polskiego i korespondencyi polskiej, pobierana będzie oddzielna opłata.

Petersburg. *Moskowskija Wiedomosti* umieściły artykuł, w którym starają się dowieść, że zakłady naukowe w państwie Rosyjskiem są źle rozmieszczone i że faworyzuje się pewne prowincye państwa na niekorzyść innych.

W państwie Rosyjskiem istnieje 12 okręgów naukowych.

Petersburski	6	gubernij	7,000,000	lud.
Moskiewski	11	„	19.000.000	„
Kazański	7	„	15.000,000	„
Orenburski	6	„	10,000,000	„
Charkowski	5	„	13,000,000	„
Odeski	4	„	9,000,000	„
Kijowski	5	„	15,000,000	„
Wileński	6	„	11,000,000	„
Warszawski	10	„	10.000,000	„
[illegible]	3	„	2,500,000	„
Kaukaski	12	„		
		i obwodów	11,000,000	„

W Każdym istnieje zakładów:

	Wyższych	Gimnazyów	[illegible] średnich
Petersburski	3	24	47
Moskiewski	4	25	56
Kazański	2	10	26
Orenburski	—	5	18
Charkowski	3	17	36
Odeski	1	20	37
Kijowski	2	20	32
Wileński	—	10	24
Warszawski	3	21	26
Ryski	3	10	19
Kaukaski	--	11	24

W celu wyjaśnienia, [illegible] moskiewski okrąg naukowy, chociaż ma największą liczbę gimnazyów, nie jest najlepiej zaopatrzony w te zakłady, *Mosk. Wiedomosti* obliczają, na jaką liczbę ludności przypada jedno gimnazyum:

W okręgu	Ryskim	na	250,000	lud.
„	Petersburskim		241,700	„
„	Odeskim		450,000	„
„	Warszawskim		476,000	„
„	Kijowskim		750,000	„
„	Moskiewskim		760,000	„
„	Charkowskim		760,000	„
„	Wileńskim		1,000,000	„
„	Kaukaskim		1,500,000	„
„	Orenburskim		2,000,000	„

W sprawie rozmieszczenia uniwersytetów *Moskow. Wiedom.* podają tabelkę poniższą. Biorąc za centrum Moskwę, wypada, że uniwersytet petersburski oddalony jest o 604 wiorsty, charkowski o 741, kazański o 823, jurjewski o 820, a kijowski o 842 wiorsty: „Czyli — w promieniu 600 wiorst od Moskwy, a więc w kole, obejmującem całą Wielkorosyę, niema ani jednego uniwersytetu. Inaczej się rzecz ma, gdy chodzi o kresy. Od Petersburga do Jurjewa 323 wiorsty, a od Jurjewa do Warszawy prawie 500 i mniej więcej na tej samej przestrzeni leży uniwersytet kijowski w stosunku do warszawskiego, odeski od kijowskiego, a charkowski jeszcze bliżej od kijowskiego."

Co do zakładów naukowych, to stosunek ich do ludności ujęto w cyfry następujące:

w okręgach		ludności
Ryskim	1 zakład na	125.000
Petersburskim	„	140.000
Odeskim	„	210,000
Moskiewskim	„	285,000
Charkowskim	„	296 000
Warszawskim	„	300,000
Wileńskim	„	425,000
Kijowskim	„	429,000
Kaukaskim	„	440 000
Orenburskim	„	556,000
Kazańskim	„	576,000

We wszystkich tych obliczeniach objęto jedynie zakłady naukowe, pod zarządem ministeryum oświaty, a więc niema tych, które są pod zarządem ministeryum dworu, wojny, skarbu i dóbr państwa i rolnictwa. W końcu twierdzą *Mosk. Wiedom.*, że kresy są faworyzowane, zwłaszcza okrąg odeski, na niekorzyść centrum, które zdaniem dziennika nie daje dowodów, że nie chce się uczyć, bo oto Jarosław ubiega się o szkołę handlową, a Kostroma udzieliła funduszów na kilka zakładów. Nie domagają się zamknięcia pewnej liczby zakładów na kresach i przeniesienia ich do centrum, ale żądają, żeby te nie były traktowane po macoszemu i pozyskały możliwie znaczną ilość szkół.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Komitet statystyczny gubernialny obliczył, iż własność ziemska rosyjska w gub. Mińskiej wynosi ogółem 1,912,315 dzies. (w tej liczbie ziemia nabyta od Polaków w ciągu r. 1896-go 21,589 dzies.; najwięcej w pow. Pińskim: 8,778 dz. i najmniej w Mozyrskim — 665 dz.). Polacy w całej gubernii posiadają 2,270,715 dz., Niemcy 414,608, Tatarzy 9,945 i Żydzi 3,278 dz.

— *Wilenskij Wiestnik* donosi, iż z dniem 13 lipca 1899 r. w guberniach Mińskiej, Wileńskiej, Mohylowskiej, Podolskiej i Wołyńskiej ustanowieni będą naczelnicy ziemscy, zamiast istniejących obecnie instytucyj pokojowych i włościańskich. Reforma ta nie będzie całkowitą, tj. nie powoła przedstawicieli miejscowych, lecz tylko polegać ma na stworzeniu nowych posad naczelników ziemskich, sędziów miejskich i powiatowych członków sądu okręgowego.

Szkoły. ministeryum skarbu zatwierdziło szkołę handlową 7 klasową w Pabjanicach, na której utrzymanie łożyć mają fabrykanci i mieszkańcy pabjaniccy. Będzie ona posiadała klasę przygotowawczą dwuoddziałową, w której wpis roczny wynosi 75 rs. w klasach 1, 2, 3, 4 i 5-ej po 110 rs., w 6 i 7 po 120.

— Postanowiono przy gimnazyach żeńskich posiadających klasy pedagogiczne, otworzyć szkoły bezpłatne dla dzieci ubogich.

Koleje i komunikacye. Hr. Maurycemu Zamojskiemu udzielono koncesyi na budowę kolei z Trawnik do Tomaszowa.

Konkurs. Towarzystwo budowniczych w Petersburgu ogłasza konkurs na budowę świątyni katolickiej w Kijowie. Nagrody cztery: 900, 700, 500 i 300 rs.

Zdrowie publiczne. W Wilnie powstaje szpital centralny dla pracowników kolei Libawsko-Romeńskiej, Warszawsko-Petersburskiej i Południowo-Zachodnich. W tym celu nabyto już grunty za 10,000 rubli.

— Zjazd lekarzy Kolejowych uznał obecne typy wagonów za niezdatne do dezinfekcyi i zalecił ogłoszenie konkursu na projekt nowego typu.

Katastrofa kolejowa. Dn. 27 czerwca na moście pod Krzemieńczukiem zdarzyła się straszna katastrofa, wywołana spotkaniem dwu pociągów pomiędzy stacyami Kriukow i Pawłysz. Oto co pisze korespondent *Kuryera Warsz.*: „O godz. 5 wieczorem ze stacyi Kriukow nad Dnieprem wyszedł manewrujący pociąg, złożony z lokomotywy i dwóch wagonów. Maszynista doprowadził go do zakrętu, z za którego naraz wysunął się biegnący całą siłą pary pociąg roboczy. Pomimo użytej w tej chwili kontrpary, najechał on na manewrujący z taką siłą, iż 6 wagonów zdruzgotał. Służba drugiego przed samą katastrofą zeskoczyła z pociągu, który cofnięty uderzeniem i daną mu kontraparą, popędził po linii w kierunku przeciwnym. Przebiegłszy jak wicher stacyę Kriukow, pomknął dalej ku mostowi na Dnieprze. Był on w tym czasie zapełniony powracającymi z Krzemieńczuka z jarmarku świętojańskiego ludźmi, wozami, bydłem i końmi. Mknący jak strzała pociąg werznął się w tę żywą masę, gniotąc ludzi, bydło i konie i druzgocząc wozy. Lokomotywa pozbywszy się całego zapasu pary, zatrzymała się dopiero w końcu mostu, obryzgana krwią i obwieszona strzępkami poszarpanych ciał ludzkich i zwierzęcych. Zabitych jest 5 ludzi; poranionych i skaleczonych mnóstwo; zginęło też wiele wołów [illegible]"

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem**, celem przygotowania rzeźb i ornamentacyj, potrzebnych do budowy gmachu Towarzystwa postanowił, w miejsce dorocznego konkursu wyznaczyć i niniejszem ogłasza, trzy konkursy następujące:

I. Szkicu wypukłorzeźby, która ma być umieszczona w tympanonie gmachu.

II. Szkicu na udekorowanie wypukłorzeźbami trzech okien I-go piętra, każdego oddzielnie.

III. Szkiców dwóch grup, które mają być umieszczone przy wejściu do gmachu.

Warunki Konkursów następujące:

1. W konkursach na wypukłorzeźby mogą przyjąć udział wszyscy artyści, pochodzenia polskiego rzeźbiarze i malarze, w konkursie zaś na wykonanie grup tylko rzeźbiarze.

2. Temat kompozycyi pozostawia się uznaniu konkurujących.

3. Kompozycye winny być wykonane w modelach gipsowych, a co do wypukłorzeźb, to i w rysunkach cieniowanych.

4. Szkice mają być wykonane podług skali następującej:

a) Wypukłorzeźby do tympanomu nie mniej jak 0,1 wielkości naturalnej, w trójkącie o podstawie wynoszącej 13,7 metrów, a wysokości 2,3 metry.

b) Wypukłorzeźb nad oknami nie mniej jak 0,1 wielkości naturalnej, wynoszącej w podstawie szerokość okna 3 metr. i wysokości 4,3 metr.

c) Grup — nie mniej $1/5$ wielkości naturalnej, wynoszącej w podstawie 1,75 met. szerokości i 3 do $3^1/_2$ metr. wysokości

Grupy mają stać na piedestałach wysokości 2,5 metr. i szerokości 1,5 m., przytykających do cokołu gmachu.

5. Za prace uznane za najlepsze wyznaczają się nagrody: 1) za szkice wypukłorzeźb do tympanomu rub. 300; za szkice wypukłorzeźb nad okna rub. 100 i za szkice dwóch grup rub. 300. Przytem chociaż obie grupy mają stanowić jedną całość, wszelako Komitet pozostawia sobie prawo wybrania oddzielnie jednej grupy za nagrodą rub. 150.

6. Jury konkursowe stanowić będzie Komitet Towarzystwa z możnością zaproszenia artystów.

7. Nagrodzony projekt przechodzi na własność Towarzystwa. Komitet pozostawia sobie prawo powierzenia wykonania rzeźb i ornamentacyj niekoniecznie autorom projektów nagrodzonych.

8. Termin nadesłania prac konkursowych pod adresem Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych wyznacza się do dnia 20 Października n. st. 1898 r., do godziny 12 w południe, prace nadesłane po oznaczonym terminie do konkursu dopuszczone nie będą.

9. Sąd konkursowy odbędzie się w dniu 4 Listopada n. st. 1898 r.

10. Nadesłane prace winny być opatrzone odpowiedniem godłem. Imię, nazwisko i adres artysty winny być nadesłane w zapieczętowanej kopercie, opatrzonej godłem, zamieszczonem na projekcie.

Bliższe objaśnienia, jakoteż odbitki elewacyi, projektu gmachu i rysunki form architektonicznych otrzymane być mogą w kancelaryi Towarzystwa.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 26 Іюня 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.